



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 55

POD BELWEDEREM

55

189. 1744



ATELIER GRS-BARCZ

IULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

- NIEZGUŁA, powieść, Lwów 1911, wyczerpane
ZAWODY, nowele, wyd. II. Warszawa 1922
PROCH, powieść, wyd. II. Warszawa 1921
ZBYTKI, nowele, Kraków 1914, wyczerpane
PIŁSUDCZYCY, wyd. V. Warszawa, 1936
ISKRY, Wiedeń 1915
BITWA POD KONARAMI, Wiedeń 1915
MOGIŁY, wyd. II. Lublin
SPOTKANIE, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane
ŁUK, powieść, wyd. II. Warszawa 1929
WYPRAWA WILEŃSKA, Warszawa 1919, wyczerpane
PODPUŁKOWNIK LIS-KULA, wyd. IV. Warszawa 1936
WIANKI, Warszawa 1920, wyczerpane
WIOSNA 1920 ROKU, Warszawa 1921, wyczerpane
RUBIKON, nowele, Warszawa 1921
GENERAŁ BARCZ, powieść, wyd. II. Lwów 1930
WAKACJE MOICH DZIECI, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane
PRZYMIERZE SERC, nowele, wyd. II. Zamość 1930
MIASTO MOJEJ MATKI, wyd. IV. Lwów-Warszawa 1934
W CIENIU ZAPOMNIANEJ OLSZYNY (z cyklu: Miasto mojej Matki),
wyd. III. Lwów-Warszawa 1934
EUROPA ZBIERA SIANO, Lwów-Warszawa 1927
NAD BRZEGIEM WIELKIEJ RZEKI, wyd. II. Lwów-Warszawa 1935
RZYMIANIE WSCHODU, Warszawa 1929, nakł. Sekcji Bibliofilów Pol.
Uniw. Warsz.
NA PROGU, Warszawa 1928, Gł. Ks. Wojsk.
LENORA (z cyklu: Czarne skrzydła), wyd. II. Lwów-Warszawa
TADEUSZ (z cyklu: Czarne skrzydła), Lwów 1929
STEFAN ŻEROMSKI, Lwów 1930
TRZY WYPRAWY, Lwów 1930
PIÓRO, MIŁOŚĆ I KOBIETA, Lwów 1931
ZA STOŁEM I NA RYNKU, Lwów 1934
ACIAKI Z PIERWSZEJ A, Lwów 1932
BUDUJMY SZKOŁY, Warszawa 1933
MATEUSZ BIGDA (Z cyklu: Czarne skrzydła)
I. Grunt, Warszawa 1933
II. Hasło, Warszawa 1933
III. Spiżarnia, Warszawa 1933





POD
BELWEDEREM

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

NAKŁADEM GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ
W WARSZAWIE, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 11 ¶
COPYRIGHT BY GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA
WARSAW¶ OPRACOWANIE GRAFICZNE I 3 ORYGINALNE
DRZEWORYTY ATELIER GIRS-BARCZ W WARSZAWIE ¶
TŁOCZONO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

1936

OD AUTORA

Książkę tę uformowałem z poszczególnych ustępów, pisanych na różne okazje związane z Legjonami i z ich Wodzem. Oddaję ją teraz czytelnikowi nie dlatego, bym przypuszczał, że zebrane tu przyczynki zdołają powiększyć sławę Męża, który zasługami swemi wyrósł ponad sławę, stając się samem dobrem narodu i jednym z najwyższych przykładów człowieczeństwa w Europie.

Przyczynki zebrane tu są tylko dalszym ciągiem pracy, którą rozpocząłem dwadzieścia kilka lat temu, gdy mnie, jak tylu innych ówczesnych młodych ludzi, jak całą młodzież polską owoczesną, porwała w swą orbitę potężna i płomienna wola Józefa Piłsudskiego.

Drukując teraz te ustępy w książce, pragnę tylko dać wyraz swej dumie splonionej, że oto wszystko, co przez ćwierć wieku pisałem o tym Mężu wspaniałym, prześcignione zostało przez Niego tysiąckrotnie. Słowa to mają do siebie, iż więcej zazwyczaj obiecują, niż się stać może w życiu i dokonać się zdoła w historii. Tu oto sprawy poszły wręcz odmiennym trybem. Mimo, iż autor, porwany entuzjazmem i miłością, sądził, że daleko naprzód słowem przed czyny wybiega, słowami najgorętszego entuzjazmu nigdy czynów ogromnych tego Męża nie dogonił.

O radości! O dumo!

Drukując teraz te ustępy w książce, pragnę też dać wyraz największemu smutkowi swojemu. Przez ćwierć wieku, na każdym rozstaju, przy każdym wahaniu, w każdej walce najtrudniejszej i w chwilach najboleśniejszego wyboru mieliśmy zawsze nad sobą pomoc tego człowieka nieśmiertelnego. Przyszedł, spojrzął, tchnął wolą wieszczą — i już wiedzieliśmy wszystko i już w nas prawda krążyła i już się moc krzewiła.

Ale i tego mało i to jeszcze nie wszystko wcale! Nietylko

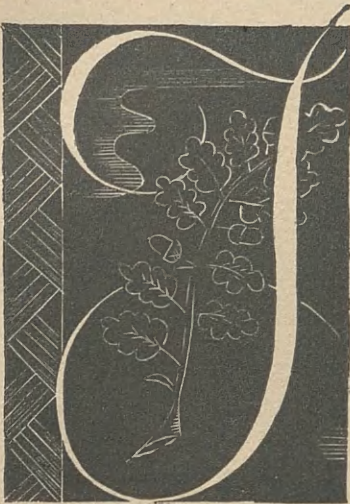
moc i prawda, lecz rozkwitała w nas wszystkich ta przedziwna uroda ojczyznoobyczaju, ta potęga tradycji jakiejś wieczystej a wiosennej, której ten Człowiek uroczy był źródłem nigdy nie wyczerpanem i którą tak przezacnie ustanawiał we wszystkim, co czynił i tworzył.

Z tych uroków, z tych powabów niepojętych, wynoszących czyny historii ku najszlachetniejszym odmianom piękna, obrała nas śmierć Józefa Piłsudskiego. Wiemy przecież, iż gdyby nawet udało się nam dalej kroczyć Jego śladami, gdybyśmy nawet nie pobłądzili na drogach, które sam ukazał nam był — na śladach tych i drogach nigdy nie dościgniemy piękna, jakiem promieniował każdy krok Odnowiciela naszego.

Gdy tę książkę czytelnikowi oddaję, nietylko mam na uwadze spowiedź z własnych uczuć względem Pierwszego Marszałka Polski; nietylko dumę splonioną, nietylko smutek, nietylko wierność najgłębszą, nietylko żal ogromny zwierzyć pragnę potomnym. Oddaję czytelnikowi tę książkę w nadziei, że i ja zdołam przyczynić się choćby w najmniejszym stopniu do przechowania tych cenneści, tych sił nadludzkich, tych miar najlepszych, jakie zaszczerpił w swem dziele a na które to cnoty nam bliskim Jego, choć zawsze wobec Niego małym ludziom dane było patrzeć i pożywać z tych dóbr i dusze nasze przetwarzać, poprawiać i ulepszać.

Gdy żył, sławę Jego głosiłem, jak mogłem. Gdy odszedł, pragnę tem samem co i dawniej słowem chwały Jego pilnować, świadom rzetelnie, iż w obliczu wielkości nie masz innej zasadniejszej służby, jak tylko wierność.

Jmym Kadm Jendrowski.



esteśmy tutaj między sobą w najbliższej rodzinie — jeżeli można tem mianem objąć wspólne wszystkim natchnienie, tę samą, wspólną sprawę, tę samą walkę, radość, cierpienia i wreszcie śmierć tę samą. Nie masz bliższej dla nas, niż ta, rodzina walki, cierpienia i umierania za wolność Polski. Wbrew wszystkim innym węzłom najczulszym, jakże ludzkim i powszechnym, to pokrewieństwo związało nas najmocniej.

Jesteśmy tutaj — rodzina osobliwa, żołnierska. A gdy mówię: żołnierska, nie znaczy to, że mundur nas jednoczy tylko lub naszywki lub też barwy pułków. Żołnierstwo nasze sięga daleko głębiej, jako że ma już za sobą rozległe i rozmaite lata walki. Gdy więc mówię: żołnierska rodzina Marszałka Piłsudskiego, a przedtem Komentanta Piłsudskiego, a znów przedtem mitycznego Ziuka, o którym w pierwszych latach młodości słyszeliśmy legendy — to rozumiem przez to cały czas i wszystkie boje od chwili wystąpienia Piłsudskiego na arenę historii.

Rodzina nasza wieloliczna stoi tu dziś pod Belwederem, przybyła tu zaś zewsząd, ze wszystkich pól Ojczyzny i z toku wszystkich polskich walk, prowadzonych o wolność w XX wieku. Przyszliśmy tu z dawnego bruku polskich miast 1905-go, szóstego i siódmego roku. Przyszliśmy tu ze wszystkich tajnych Związków bohaterskiej młodzieży, przyszliśmy tu z dawnych Komend Strzeleckich i z dawnych ośrodków młodej Filarecji Piłsudskiego.

Przyszliśmy tu z najspieszniejszych chwil mobilizacji na wielką wojnę świata, pierwszej od ostatniego Powstania

mobilizacji polskiej, my wszyscy, którzyśmy wyruszyli na tę wojnę w sierpniu 1914 roku, w jedno tylko wierzący, gdy już wszystko zawiodło — w wielkość naszego Wodza.

Przyszliśmy tu z odmetu wszystkich bitew, z mozołu wszystkich marszów, ze wszystkich długich głodów, rozkopanych pozycji, odwrotów i pościgów. My, ludzie pierwszych brygad i wszystkich dalszych brygad i wszystkich dobrych brygad tej zuchwałej rodziny.

Żołnierze z pod Czarkowej, z pod Krzywopłotów, Lašek, Limanowej, żołnierze Mołotkowa i wszystkich bitew karpackich, żołnierze z pod Łowczówka, złotych Konar! Mała, drobna piechota z pod krwawego Kozinka i wspinali ułani Rarańczy, żołnierze Pantyrpassu i Kamieniu-chy, żołnierze wołyńskiej Góry Polskiej!

Są tutaj między nami ci, co żywi i ci, którzy polegli, albowiem wszystkim żołnierzom onej sprawy przypada raz na zawsze wieczyste życie chwały. Czyż pośród żywych nie widzicie tu razem z nami w szeregu radosnej twarzy majora Wyrwy-Furgalskiego, rotmistrza Wąsowicza, lub tak promiennych zawsze rysów Lisa-Kuli?!

Przyszliśmy tu ze wszystkich więzień Szczypiorna, Benjaminowa, Marmarosz-Sziget i z pod Kaniowa i ze wszystkich dróg emisarskich i z nad Murmania, z Bobrujska i ze sławnej tułaczki kubańskiej!

Przyszliśmy tu ze wszystkich tajnych komend peowiac-kich i ze wszystkich późniejszych sławnych dróg na Wilno, na Dźwińsk, na Kijów i raz jeszcze z pod Warszawy, Płocka, Włocławka i z pod Dębłina za Niemen!

Przyszliśmy tu ci sami zawsze, w jedno zawsze wierzący, gdyby wszystko zawiodło — w wielkość naszego Wodza. Wielkości tej uczyliśmy się w polu, pośród bitew, oraz na tych rozstajnych drogach życia państwowego, gdzie wybierać najtrudniej.

Oto jest szkoła naszego Wodza w polu: na siebie brać naj-

większy ciężar odpowiedzialności, by innym pomóc w rzutkości wojennego działania.

Wybierać zawsze sprawy większe i dalsze, na siebie burze ściągać, lecz ogółowi ulżyć, samego siebie odsłonić uderzeniom, lecz sprawę wynieść cało z rozgwaru przeciwności — oto jest szkoła naszego Wodza na tych rozstajnych drogach życia państwowego, gdzie wybierać najtrudniej.

Z takich to cnót wspaniałych Wodza składa się prosta wiara wiernych Jego żołnierzy. Wiara ta kole w oczy przeróżnych ludzi w Polsce, co może stać się w tej chwili, tak wielce uroczystej, niemałym chyba przydatkiem do naszej słusznej dumy.

Od kiedyż to koledzy, od kiedyż to słyszymy, zacni przyjaciele wspólnego koliska przy ogniu na postojach rozpalonym, że ta wiara jest ślepa?!

Od kiedyż to, słyszymy, przyjaciele porannych świtów, wstrząsanych głosem dział, iż ta wiara nietylko nam, lecz sprawie polskiej szkodzi?

Słyszymy te wołania, od kiedy czyny Wodza stanęły przeciw tchórzliwej powszedniości w chwili wybuchu wielkiej wojny światowej.

Słyszymy te wołania, gdy świetne czyny Wodza obróciły się później przeciw ugodzie z podstępnyim sojusznikiem. I potem znów, gdy czyny Wodza zakreśliły granice Państwu i pięknie zespoliły już wojsko i pięknie zbratały naszą ziemię.

I teraz może wiele jest takich wołań, albowiem nie znajdzie nikt w tem życiu chwili, w którejby rzeczy mniejsze i lichsze piękniejszych i ważniejszych zgłuszyć nie zapragnęły.

Owym wołaniom miałkim przeciwstawia się wiara żołnierskiej rodziny Piłsudskiego, wiara na najszczytniejszych cnotach Wodza utwierdzona, więc na cnocie miłości, honoru i cnocie obowiązku.

Owe cnoty nas wiodły przez wszystkie pola walki, przez wszystkie drogi pracy dla Ojczyzny. To owych cnót, miłości, honoru i obowiązku — utwierdzamy dziś sławę najprzystojniejszą, gdy w dzień Imienin Wodza okrzykiem na cześć Jego cnoty te wysławiamy.

CHARAKTER POKOLENIA

(1914—1934)

Jakby to było wczoraj, a ile to już lat, kiedyśmy, młodzież owoczesna, małutkimi pociągkami belgijskimi jeździli po kolonjach studenckich i do polskich robotników belgijskiego zagłębia, a tam radziło się, namawiało, przysięgało: na Związek Walki Czynnej.

Jakby to było wczoraj, a ile to już lat, kiedyśmy, młodzież owoczesna, snuli się, szykowali, gotowali w Paryżu, w Szwajcarji, w Niemczech, a później na podwórzu muzeum rapperswylskiego, w obliczu starych papierzysków powstańczych i wydartych resztek piechurskiego kabata, kiedyśmy do rodaków przemawiali, wznosząc oczy ku niebu, jakgdyby z tego nieba mogła się nam być żywcem ukazać święta osoba poćwiartowanej Ojczyzny!

Przysięgi i ćwiczenia i browning położony na glansowanym papierze w środku stołu; zjazdy, rocznice, rocznica Lelewela, pochowanego w Paryżu we wspólnym grobie z żołnierzami Powstania, który to grób opatrzyliśmy za grosze studenckie i tam się znów spotkali przysiężnie, pełni dumnej boleści.

Egzaminy uniwersyteckie i ćwiczenia strzeleckie, egzaminy, ćwiczenia z kamieniami w tornistrze (nie było bowiem pieniędzy na prawdziwy ekwipunek) - pośród bogactw Zachodu oberwani filareci wojskowi.

Zaraz później, niedługo - Kraków. W parku krakowskim, pierwsze dni sierpnia 1914 roku, gdyśmy razem we trzech siedzieli, pośród wapna i beczek, na zasmolonem podwórku, Sieroszewski, Daniłowski i ja i odezwę pisali. I zaraz potem ów pierwszy sen na jawie, rozciągnięty od Krakowa po Kielce; sen wieszczy, drżący śpiewem, terkotem wozów i krzykiem młodych komend. Naiwne marsze bataljonów i Piłsudski, śpieszący tą drogą, jak duch

gwałtowny i zdrożony, promienny i natchniony a w środku słowa zasypiający nagle z nieludzkiego frasunku.

Na placach, na ulicach Jędrzejowa płoszyły się dragony austriackie w złotych hełmach, nasza szara piechota idzie naprzód i śpiewa. Wśród szeregów działacze różni, wielcy głowacze, mówcy sławetni, nie pamiętają już swojej polityki, śpiewają razem z nami: „Hej strzelcy wraz“!

Co tam mowy i co tam partje i co tam poseł, doktor, adwokat czy artysta?! Tu jakaś inność młodociana, świeża w Polsce, czy z przeszłości raz jeszcze dobytą, połykliwa księżycem i bronią, pachnąca sianem i przydymloną w wielkim garnku kaszą, tu jakaś inność kroczy! Po stokroć razy my, ostatnie pokolenie, ostatnie z tamtych dawnych powstańczych, pokonanych, czy już pierwsze zwycięskie? Zwycięstwo, klęska — nikt o tem nie myśli, wszystkich popycha, wszystkich unosi wielka radość działania.

Z tego wszystkiego — odwrót, a potem znowu naprzód, znów odwrót, znowu naprzód. Marsze dzienne i nocne, przez mroźną zamieć dokoła Limanowej. Marsze, chłody i głody, łyżka wciąż za cholewą, dołapany nareszcie sen na kupie popręgów, porucznik Sarmat w drzwiach chaty, oświetlony jak zjawa. Znów cała noc gonitwy, zato nasze karabiny maszynowe biją wreszcie na Tymbark.

Ułanów mało że nie odcięto pod Marcinkowicami, mało się nie potopili wszyscy w Dunajcu, porucznik Milko zabity jest w piechocie. Komendant siedzi po tej bitwie w chałupie, głowę na stół położył, rozpacza nad stratami. Nad stratami czy też nad swą bezsiłą? Na czele swojej drobnej Brygady wdał się w śmiertelny bój z korpusem Dragomirowa. Austriacy Brygadzie skrzydła odstonili, wieleż to brakowało, by na zawsze zginęła wśród groźnych ciosów rosyjskiego korpusu?

A potem znów Komendant odjeżdża, któż to zrozumie dziś? Któż zrozumie, mimo późniejsze dziejowe powodzenia, tę

dojmującą chwałę ubóstwa, w której wyjeżdżał Piłsudski do cesarskich komend, do obcych armij, do innych światów i do społeczeństw polskich z jedynej wówczas na całym świecie wolnej ojczyzny z naszej Pierwszej Brygady?

Tam znowu działał, tam znowu nawoływał, by opieszali rodacy nie oddawali obcym wysiłku żołnierza polskiego za byle co, za pierwsze lepsze mizerne obietnice.

Tam obietnice, a tu na froncie srogie zmagania łowczowieckiej bitwy: na szarych górkach, w kotlinach i wśród lasu — śmierć nieustanna. Dowództwo Brygady wyniosło się z chałupy, aby być bliżej przy swoich bataljonach, echo polata wśród zmarzniętego lasu, a ja powiadam do adjutanta Dzieduszyckiego:

- A co będziecie jedli w tej nowej chałupie?

A on powiada:

- Nie wiem, bo wszystko w starej zostawili.

Cały nasz prowiant został w ostrzelanej chałupie, przy której Belina był ranny, więc ja znowu powiadam:

- No, to trzeba stamtąd zabrać jedzenie, bo pozdychamy z głodu.

Była to pierwsza tyraljera (niechże się durnie śmieją), którą prowadziłem podczas światowej wojny: trzy garnki z mięsem, worek sucharów i dwa kociołki jakiejś kwaśnej kiszonki kompotowej. Bieглиśmy z tem padając i znów powstając, w czterech czy pięciu, przez flankowane wzgórze.

A z tego zaraz potem w nocy wynikła dla mnie zwózka amunicji. Bataljony meldują, że nie mają czem strzelać, więc trzeba po to jechać aż gdzieś za karczmę Brzezie. Gdzie ta karczma? Skąd wozy?

Na to dostaję rozkaz szefa, to jest Sosnkowskiego, że tak a tak, że wszystkie napotkane wozy macie prawo zabierać, bo to pod amunicję. Księżyc świeci, mróz zgrzyta, duchowość księżycowej poświaty jeszcze bielsza wśród

trzasku gęstych strzałów. Tu osiedle, tam drugie, znów chałupa. Składkowski przytupuje na progu i powiada:

- Ja tu mam wozy pod rannych, więc ich nie dam.

Istotnie ranni już leżą na tych wozach, a drudzy się gramolą, wybladłe cienie ludzkie, zionące rzewnym jękiem.

Więc ja powiadam:

- Dasz.

On zaś na to:

- A co zrobię z rannymi?

Więc ja wrzeszczę:

- Rozkaz szefa, nie mamy amunicji. Jadę po amunicję.

Na to Składkowski powiada:

- No to znosić tych rannych i układać na ziemi zpowrotem.

Jęczą straszliwie, a ja drepczę na koniu koło tego wszystkiego i coś mi tak zalewa piersi, jakby nasz cały dom rodzinny, kiedym był małym chłopcem! Jakieś bezradne ciepło, przerażone, stracone. Więc znów wołam z tego wszystkiego:

- No, to niech już szlag trafia twoje wozy!

Ta noc i to szukanie po sztabach austriackich i ten jakowyś polaczyna Austriak, w którym się nagle sumienie odwróciło i dał z dywizji amunicję i wozy. I to czekanie obłądne, aż się skrzynki spakuje, a tam na linji może już nasi wystrzelali ostatnie swe naboje?! I ta jazda i poganianie przerażonych koniuchów przez martwe pola, doły, haszcze, wyrwy i koniska i baty i krzyk i stęk i trzask i tem wszystkim obudzona Ojczyzna nasza, ach naszą ręką, żołnierzy Piłsudskiego!

Łowczówek, Nida, Konary, Koszyszcze, Kołodzieje — trzy brygady Legjonów spływają krwią, patrzcież odwieczne sosny! Coś czytał i coś marzył o męstwie, poświęceniu, to dzieje się i spełnia. Co ci mówili od lat o męstwie twoich dziadów, pradziadów, to cię już nigdy, przenigdy nie zawstydy! Ty też spełniłeś wszystkie przysięgi dzie-

ciństwa, więc teraz patrz spokojnie: tam chodzi serce tego boju. To nasz Komendant! Pod smugą wierzb raniomych ogniem flankującej piechoty rosyjskiej przemija tam i nazad aż otrzyma meldunki, że oddziały ściągają się, odchodzą, wytrzymawszy wspaniale tę straszną obronę.

Serce całego boju, anioł niebieskooki.

Nad Styrem, nad Stawokiem, Stochodem nazwiska w ogniu onym wyhartowane, jak nowe wielkie cnoty, nazwiska żywych, poległych, które lśnią we mnie i w tobie i w każdym z nas radosną glorią, że kiedy nawet nie wiemy, iż lepszą drogę wybieramy — one, one prowadzą.

To przez nich wszystkich życie nad nami drży po resztę dni jednym tonem, jedynym już rozgłosem: młodość, wytrwanie, sława wśród gromu przeciwności.

Z tego to właśnie trudu i szczodroblivej śmierci jeden charakter w całym pokoleniu Piłsudskiego; stąd też pewność właściwej zawsze drogi i spokój wobec ciosów i nieliczenie strat. Stąd też, jeżeli poeta o lutnię się upomniał, to cóż wkońcu ta lutnia?

Struny drżą, przebrzmia, a przecież życie na polach takiej walki, od Miechowa po Styr i aż po Horyń zgoinione, zmordowane i ucieszone wszystkim, co walka może dać — jakżeby miało przeminąć, czy też przebrzmieć? Gdyby się nawet lutnia miała nie ozwać, życie tamto, to nasze wojownicze życie, samo tu wytrwa wszędzie, w każdym kłosie i drzewie, na każdej drodze, we wszystkich szumach lasu, we wszystkich pluskach wód, w każdym żniwie i zbiorze i na każdym obszarze, dopóki tego kraju, dopóki polskiej ziemi wśród różnych ziem wszechświata.

LEGJONIŚCI NAD MORZEM

(14. VIII 1932)

A dziś przychodzimy nad morze. Tu zaś z nami nad ten brzeg płowy, tak już szeroko wybudowany polską pracą, przybywają z nami wszystkie walki nasze, cierpienia i porwy, wszystkie okresy naszego marszu wielkiego i zwycięskiego z pod Oleandrów w głąb nowej historii polskiej.

Gdyśmy się tu zjawili, aby uczcić rocznicę czynu z dnia 6 sierpnia 1914 roku, jawi się tu na polskim brzegu morskim, w wesołości i w dźwiękach pochodu i w słowie skupionej uwagi, cała nasza legenda. Legenda najromantyczniejsza z romantycznych i głos najczystszy może w straszliwym zgiełku wielkiej wojny świata, jeden z najrzadszych głosów w tej wojnie, obcy wszelakim chęciom zysku, zaboru, przemocy, głos świętej walki o sprawiedliwość dziejową.

Na ów głos złożyć się musiały, musiały się weń wtopić wszystkie odwagi i wszystkie umiłowania szlachetnej wolności, te właśnie, które składają się na bezsporną doniosłość dziejowego uczynku.

Te właśnie wszystkie odwagi, które stanowią o pięknie człowieka i narodu w dziejach ludzkości. A więc nie tylko odwaga hazardu własnem życiem, lecz równocześnie potężna odwaga cywilna, lecz równocześnie odwaga nowej, własnej formy orężnej i społecznej i obywatelskiej.

Oręż nasz i nasze męstwo zostałyby bez śladu wchłonięte przez bezdenny wir ofiar wojennych, gdyby za tym orężem i męstwem nie lśniła cnota trudna, a wówczas zdało się szalona — cnota wiary w moc przyszłego Państwa Polskiego.

Powiedzieć w owych czasach: Państwo Polskie, powiedzieć w owych czasach żołnierz polski, równało się przecież — i to nie tylko w oczach wrogów czy obojętnych obcych, lecz nawet w oczach rodzimej ospałości — przyznaniu się do szaleństwa, manjactwa, niepoczytalności w sprawach

historji. Równało się też takie marzycielstwo pozbawianiu Polski najlepszego warunku Jej istnienia, to jest wschodnich rynków.

Rynki wschodnie, ugoda z taką czy inną monarchją lub konstelacją państw obcych! Tylko żołnierz legjonowy, prowadzony genialną intuicją Wodza swego, a później wraz z legjonowym żołnierz innych formacyj ochotniczych, życiem własnem przyplacający prawo swego narodowego munduru, tylko żołnierz rozumiał wówczas najwyższą prawdę dziejów Polski, którą jest służba wolności.

Rynki wschodnie, unje personalne z monarchjami, żalostna gra na łaskawość czy rozum stanu Petersburga, Wiednia lub Berlina — były to tylko zakapturzone formy niewolniczego myślenia.

Żołnierz legjonowy i jego zbrojna rodzina ochotniczych formacyj na całej przestrzeni wszystkich wojsk zaborczych pojął znaczenie swej Ojczyzny głębiej. On jeden właśnie rozumiał wówczas, że w boju tym nie może być żadnych kompromisów, chodzi tu bowiem o prawo i o wolność kraju, bez którego niemasz sprawiedliwości w Europie.

Walcząc o wolność Polski, żołnierze ci walczyli o prawość Europy.

Dlatego to w swym rozmachu dziejowym ci sami ludzie poszli uwalniać Dźwińsk, dlatego to z blaskiem wolności na swej broni znaczyli bohaterską krwią dalekie szlaki Ukrainy.

Dziś święcą swą rocznicę nad morzem. Nie jest imdziwne, ani nowe owo morze, gdyż nad brzegiem jego sławę swych czynów kołyszając, mogliby przecież powiedzieć, iż jest to właśnie miejsce najwłaściwsze dla święta takiej rocznicy.

Oto wieczyste morze — a oto oni znów, na brzegach tego kraju, wieczysta w tych żołnierzy wcielona tradycja polskiej ziemi. Najwspanialsza tradycja obywateli i żoł-

nierzy, tych samych w długim korowodzie przemijania, którzy z Chrobrym chodzili zakładać wielkie państwo; tych samych, którzy przy Łokietku wytrwali; tych samych, którzy przy Żółkiewskim pod Cecorą ginęli; z Napoleonem czas nowożytny roznosili po świecie; uczyli w pierwszej połowie XIX wieku stare ludy Europy, jak się walczy z przemocą tronów spróchniałych.

Najwspanialsza tradycja obywateli i żołnierzy, w długim korowodzie przemijania, tych samych, co przez wiek cały znaczyli swoim życiem straszną drogę sybirską, tych samych, którzy w wojnie światowej, wbrew spodziewaniu świata, wprowadzili znów Polskę między wolne narody Europy.

O chwilo piękna, jedyna, uroczysta! Legjoniści, Obywatele, Żołnierze naszych czasów, tak trudnych, krwawych, biednych, zarazem najdumniejszych.

Obywatele — oto Polska najbardziej samotna i uparta, Wasza Polska samotna, postrzelana kulkami na rozkopanych wzgórzach tylu bitew, Polska rozrywana pociskami wśród wołyńskiego lasu Polskiej Góry, Polska cwałująca szwadronami Rarańczy, Polska owita w druty kolczaste baraków Szczypiorna, Polska bijąca sercem Wodza w Magdeburgu — rozkwita tu nad morzem, w polskim porcie, rozkwita największem pięknem waszej dziejowej misji!

SŁOWO ODRODZONEGO PAŃSTWA*

Gdy mnie koledzy legjoniści na dzień dzisiejszy na scenę łaskawie zapraszali, powiedziałem sobie, że z tej okazji ani jednego słowa nie napiszę i nic nie przygotuję, nic nie obmyślę naprzód, lecz wszystko temu tylko uczuciu powierzę, którego doznam, gdy się tu znajdę w kochanem, zawadjackim, niezapomnianem nigdy, najwspanialszem towarzystwie srogich i lubych i najmiłszych i najweselszych kolegów Łowczówka, Konar, Jastkowa, Urzędowa, Kostjuchnowki i Koszyszcze, Garbachu, Styru, Stawoku, Maniewicz, Ostrołęki, Pułtuska, Zegrza, Łomży — ile miejsc i nazw w Polsce, tyle nazw, tyle miejsc naszej młodości, pracy, siły, sławy.

Nic nie obmyślaj — mówię sobie — przezywali cię przecież kiedyś złotym pyłkiem, żeś pisał o nich wiele, teraz cię słuchać będą musieli, bo im z widowni przy Panu Prezydencie, wodzach i znacznych szarżach przerywać nie wypada. Będiesz nareszcie mówił im o pisaniu, a oni, twardzi, niecierpliwi żołnierze będą musieli słuchać o literaturze, o Wyspiańskim.

Ale Wyspiański, to przecie nie jest wcale literatura i nie jest słowo i już nietylko barwa i już nietylko wizja i nietylko modlitwa. Lecz słowo, barwa, modlitwa — przeznaczenie! Lecz cały los Narodu wielkiem szaleństwem piękna wyrażony, a znów szaleństwo owe — podniesione do potęgi proroctwa, a znów proroctwo owe — zagłębione w historii narodowej, we wszystkim, czem jest Naród.

Cóż tu mówić i jakże w dowolnym locie mowy rozważać sprawy takie? Snadziej chyba sięść przy warsztacie.

*) Przemówienie wygłoszone na przedstawieniu „Wesela”, dnia 3. XII. 1932 w Teatrze Narodowym z racji hołdu, składanego przez legjoniistów pamięci Wieszcza.

Pisać: wybrać starannie ze wszystkich płynnych myśli najpewniejszą już tylko stałość. I w ciszy serca trwożnego słuchać przebiegów onej sprawy, która w historii polskiej zowie się — Wyspiański.

Wyspiański jest w tem wszystkim, czem jest naród. To wszystko, czem jest naród, ma prowadzić do czynu. Słowo i czyn, Panowie, to w promieniach narodowej wolności czyn i jego sława. Jest czyn i jego wieść, jest czyn i jego skrzydła. Czyn i słowo, Panowie, to dopiero całe szczęście potęgi.

Kiedy Wyspiański tworzył, w czasie ciężkiej niewoli, słowo i czyn, to była razem jedna zgroza!

Cóż to za słowo i jakaż jego wolność, gdy czyny są niewolne? Słowo w tym czasie było nieomal nadużyciem rozkołatanej myśli, zaprawdę, słowo bez istotnego sprawdzianu uczynków!

A cóż to znów za czyny tego czasu, gdy pozbawione słonecznej glorii słowa, gdy szeptane po kątach, gdy spowiadane cichcem, ukradkiem, w zaufaniu, w najzacniejszej chociażby, lecz zawsze konspiracji.

Naród rozdarty na trzy części? To jeszcze nic! Ale naród rozdarty w swej istocie moralnej, w swej istocie życiowej, oplakany sto razy słowem poetyczności, naród o słowach rozdętych niepomiernie, a uczynkach zanikających, nieomal oderwanych od życia?!

To On, to pierwszy On, Wyspiański, wyruszył słowem przeciw tamtemu, świętemu i rozdętemu bezradną miłością słowu naszej niewoli. To On rozwalił potężnym młotem swych krótkich, twardych rytmów chore urokiem beznadziei słowo naszej udręki.

To dzięki Niemu już nie modliliśmy się romantycznym westchnieniem w głodnych obozach naszych, ale wrzeszczeliśmy wielkie grubjańskie słowa naszych żołnierskich trudów. On, jak my, czy też my, tak jak On?! On przecież wie-

dział, że z legendy ma słowo w życie zejść, choćby się miało rozbić na twardej progach czynu. Choćby miało cenę swojej piękności stracić. Choćby samemu sobie miało zadać stanowczy cios, śmiertelny.

To On w imię działania i wolności, w imię Państwa, rzeczywistego Państwa, gnał genjusza poezji pod ziemię. Panowie, to jak my, jakgdyby my, zobaczeni w proroczem słowie tego apostoła wolności. Lepiliśmy przez całe lata wojsko nasze bez podstawy narodowej, prowjantowej, lepiliśmy to we krwi, głodni, zawszawieni, cierpieniami, trudami udręczeni — aby u wrót obcej przysięgi rozburzyć i rozkruszyć i unicestwić raczej samych siebie, ale się już nie poddać.

Słowo i czyn! Czemże zaś słowo godne w rzeczy samej, jeśli nie chwałą czynu? Przeszukajcie w ogromie książek Wyspiańskiego, ciekawi postaci Jego wielkich, ciekawi duszy wyłuszczonej tam zdarzeń. Ten sam znajdziecie ton, przyziemny, a tak wieszczy, rozumny a natchniony, chociaż prosty, tak trudny, gdyż w rzeczywistość wieczną zapatrzony...

Znamy dobrze ten ton! To właśnie owe najprostsze słowa, któreśmy słyszeć mogli, kiedy V bataljon Herwina maszerował nocą przed Komendantem Głównym już po bitwie konarskiej. To są te proste słowa przemowy Wodza naszego w Lipnicy Murowanej po łowczowieckiej bitwie, to jest przecie ten sam rozległy głos przemowy w Sali Malinowej, to są przecie te same proste słowa ciężkich majowych dni.

Wódz czynu, dziś Wódz Polski, ongiś tylko nasz Wódz, spełnienie wszystkich marzeń narodowej niedoli — każdą stronicą wieszczą zapowiedziany, żywy, na każdej stronie całym sobą obecny.

Taki jest nasz Wyspiański: nasz prorok nieodrodny, słowo pędzące naprzód przed człowiekiem, który prowa-

dził bataljony Uliny, Marcinkowic i Kołodziejów i bataljony wkopanych do podziemi żołnierzy P. O. W. A jacyż to my dzisiaj w obliczu Wyspiańskiego?

Dzieło tego wieszca jest sławą odrodzenia. Teraz więc naszą sprawą wśród wszystkich prac tysiąca, ta jedna także będzie, ozdobna, wdzięczna: gdy na orężu sława promieniem kwitnie, zdziałać, aby najdroższe słowa zapowiedzi żyły w narodzie całym. Bo to są słowa walki i oczyszczenia, bo to są słowa pierwszego zwycięskiego powstania, bo to są słowa wspomagające nieśmiertelnego Wodza, bo to są słowa odrodzonego Państwa.

PIOSENKA ŻOŁNIERSKA

Kiedy w roku 1915, w czasie wojny światowej, I Brygada Legjonów Polskich pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, stała na leżach zimowych w Karasinie na Wołyniu, przyjechały przed świętami wielkanocnymi przezacne panusie z Ligi Kobiet, przywożąc różne dary dla żołnierzy. Dary pożyteczne, własną, szanowną ręką tych panusieczek wyuczynione, a więc ciepłe szaliki, sweatery, nauszniki, skarpety, rękawice, nakolanniki, nie licząc już papierosów, notesów, ołówków, bakalij, pierników i nawet różnych pięknych, pożytecznych książeczek, o treści budującej.

Bardzo były te panie wzruszone, gdy przyjeżdżały: że to przybywają do obrońców Ojczyzny, powstańców, bohaterów, legjonistów prawdziwych, a zarazem legendarnych. Po kilkugodzinnym jednak pobycie w Brygadzie, bardzo się te panie zasmuciły i obraziły. Bohaterowie bowiem, zamiast okazać w obcowaniu z paniami odpowiednią powagę, namaszczenie i natchnienie w miłości Ojczyzny, nietylko byli weseli, żartobliwi, ale śpiewali tegoż dnia, jak każdego innego, po chałupach i na drodze i wszędzie, gdzie się dało, pieśni swoje żołnierskie o tem i o owem i wcale nie zawsze o tem, o czem akurat wypadałoby mówić w salonie.

Wiadomo, że pieśń żołnierska w tematach nie przebiera, niczego się nie wstydzi, na wszystko sobie pozwala, bo i czegożby miała sobie żałować, gdy ją śpiewają i układają ludzie żołnierskiego fachu, to jest żołnierze, to jest ludzie, którzy są dziś tu a jutro tam i dziś na pięknym bożym świecie, jutro zaś może w szpitalu czy też zgoła na łonie wieczności.

Paniom aż uszy wędły od tych śpiewów i śpiewek. Zaczne niewiasty myślały, że usłyszą z Dymem pożarów, Boże coś Polskę, bo i cóż innego powinienby śpiewać

bohater-legjonista?! Tymczasem słyszą jakieś takie wywijasy i jakieś takie słowa, naprzykład husia-siusia i ksiądz mi zakazał, żebyśmy nie całował i o strzelcach-wisielcach, a także inne, których wcale wolę tu nie przytaczać.

Krótko mówiąc, chyba obraza szlachetnego patriotyzmu powstańczego, obraza zacności legjonowej i może nawet wogóle obraza boska!? Po jednym dniu pobytu w obozie, tak się zacne matrony zgorszyły i zraziły, że aż do Komendanta Piłsudskiego zameldowały się, aby może zechciał zwrócić uwagę na stan moralny swego wojska i podniósł ów stan moralny, polepszył, podtrzymał, ba! może nawet zaraz do właściwego porządku przyprowadził.

Brygadjer odpowiedział im ze śmiechem — widzę tę scenę, gdyż byłem przy tem w onej chałupie wołyńskiej wśród lasów i puszczy rozsiadłej i jeszcze mam przed oczyma naszego Komendanta, jak w szarym swetrze grzecznie się paniom skłonił, a potem brwi krzaczaste w górę unióśł i zahuczał przez gęste wąsy — że jeżeli żołnierze pieśni swoje żołnierskie śpiewają, to już widać są w dobrym duchu i dobrego usposobienia i należytej postawy moralnej. Jeżeli bowiem żołnierz śpiewa, to widać jest w dobrym humorze, nie czuje się przybitym trudami wojny i surowością dyscypliny, lecz czuje się mocnym i wolnym. Daje ujście wesołości i o cóż miałoby tu chodzić więcej?

Panie stropiły się bardzo, bo wszystko to razem wyszło niebardzo właściwie, że ledwie przyjechały, a już panu Komendantowi Piłsudskiemu dają nauki, a przecie wiedzą, że chyba nie większe, a o wiele mniejsze od pana Brygadjera pojęcie o wojnie mają.

W istocie rzeczy, Brygadjer miał słuszność, a zacne matrony nie. Pieśni wielkie i wzniosłe są na wielkie okazje. Ale przecie wojna jest dla żołnierza nieustającą okazją nie tylko walki i poświęcenia, lecz także codziennej pracy, mozołu, nudy, czekania i najprzeróżniejszych mitręgi.

Gdy mowa o wielkości sprawy żołnierskiej — pocóż śpiewać wzniosłe pieśni, gdy spełnia się czyny doniosłe?! Żołnierz-legjonista miał osobliwe poczucie skromności i godności. Powodowany krewką przekorą, godziwą dumą i fantazją, nie obnosił się sam ze swoją sławą i chwałą. Wolał raczej ukrywać ważność swego zawodu pod pozorami żołnierskiego wydziwiania, pyskowania, narzekania i ujadania.

Takiem ujadaniem (najwyższy jego kształt objawia się paskudną pięknnością w monologach legjonowego kaprała Szczapy) pokrywał legjonista swoje wzruszenia. A znowu innym wyjściem z powagi życia wojennego, krytyką tego życia nieustanną i wesołą i zjadliwą była pieśń. Wojsko, które układa wesołe, ostre, a nawet bezczelne śpiewki żołnierskie, to wojsko zdrowe.

Wojsko, które śpiewa tylko wzniosłe pieśni, a wesołych, morowych, byczych nie układa — nie chciałbym służyć w takim wojsku, gdyż napewno nie twarde w męstwie i bić się dobrze nie będzie. Niema bowiem widać w tem wojsku ducha wolności i humoru.

Żaden człowiek, a cóż dopiero legjonista, nie może żyć bez wolności i wesołości. Rozkaz, wojskowy rygor — nie przewiduje, ma się rozumieć, tych spraw, no bo jakże, jeszczeby mieli z komendy razem z amunicją i kawą i jedzeniem wesołość porcjami dla oddziałów przywozić? Z drugiej jednak strony, dowódcy legjonowi wiedzieli, że żołnierz bez humoru żyć nie może. I tu całej sprawie przychodziła z pomocą pieśń legjonowa. Ona to właśnie była środkiem doskonałym, zapomocą którego można było wypowiedzieć wszystko w rygorze wojskowego życia.

Jakież to jest to wszystko?

Pieśń legjonowa była przedewszystkiem nieustającym porachunkiem, prowadzonym przez żołnierzy z kucharzami, krawcami, szewcami, prowianturą, kwaterami, lud-

nością, dowódcami kompanij, bataljonów, aż do Naczelnego Komendanta włącznie.

Oprócz takiego porachunku, przygany w pieśniach wyrażonej lub pochwały, snuł legun w swojej piosence porachunek z nieustanną tęsknotą za domem, za rodziną, za bratem, swatem, matką i narzeczoną: że mu trudno, a tamci w domu pozostali, że on się tu tytła w błocie i wielce tęskni za nimi, oni zaś tam za piecem grzeją się — więc im wymyślał zazwyczaj, wyśmiewał się z ich przywar, przyganiał im raz po raz i tak właśnie szczerą swoją tęsknotę dokuczaniem pokrywał.

Dochodziła tu jeszcze do spraw wyżej wymienionych tęsknota za własną gminą, za powiatem, za dzielnicą, za krajem. O kraju swoim macierzystym śpiewał legun z ogromnem rozrzewnieniem. I cóż dziwnego? Dajmy na to, że góral jest — góry codzień oglądał, górami codzień żył, a tu siedzi na mazowieckiej równinie, albo też go zagnali w szare dale wołyńskie, albo wśród stron Mickiewicza maszeruje nocami i dniami. A tymczasem jest góral. Albo naodwrot, z równiny mazowieckiej zaprowadzili takiego bratka w góry. Jakże ma więc nie śpiewać o swych stronach, a tym znów innym, bądź co bądź obcym, nie przyganiać?

Tak to się układała dziwnie w pieśni legjonowej cała miłość Ojczyzny. W poszczególnych ustępach pełna będzie przygany, wydziwiania na nieoczekiwaną nowiznę obcych widoków, a gdyby razem zebrać wszystko — toby z tego wypadł jeden okrzyk zachwyty nad ukochaną ziemią, jedną ziemią ojczystą.

I jeszcze inne czynniki wspomagały wielką pracę żołnierza nad pieśnią. Pracował tu przypadek, pobratany z włóczęgą. Przypadek sprawiał takie niespodzianki, że potem głowili się ludzie uczeni, szukali źródeł danej melodji, słów do niej i wadzili się o to w długich wywodach,

tymczasem nic tu wywody nie mogły pomóc, gdyż wdał się w tę sprawę ślepy traf i szukajże go potem!

Najlepszym przykładem takiego trafu ślepego, zabawnego, w skutkach swoich wielce doniosłego, jest marsz I-szej Brygady. Grała tego marsza jakaś orkiestra w Kielcach za rosyjskich czasów, niby pono orkiestra strażacka, lecz myślę, bardziej była szalawilska, niżeli strażacka.

Skąd się wzięła — nikt już dziś nie pamięta dokładnie. Wiadomo, że zaraz w pierwszych czasach przybycia bataljonów strzeleckich do Kielc w roku 1914-tym przyłgnęła do ówczesnego wojska strzeleckiego. Spodobało się przygodnym muzykantom i ich dzielnemu dyrygentowi wojsko nasze i odrazu przystali do Piłsudskiego.

Mieli zaś oni, to jest ci wędrowni strażacy, swój wybór przeróżnych kawałków, złożony z niewybrednych walców i marszów. Jeden z tych marszów przytrafił znów do smaku maszerującym bataljonom strzeleckim. Nie dziwota, że przecie nikt nie pytał, czy to Bach, Beethoven, Liszt, czy też Strauss czy Czajkowski byli autorami tego marsza.

Więc kompozytor nieznany, a marsz poprostu znajda! Spodobał się żołnierzom rytm i spodobała się melodja, bo się owoczesnym strzelcom, fatalnie obutym, najlepiej przy tej melodji chodziło. Tak jakoś serce rozdierała, jak się na drogach, błotach i kamieniach buciska rozdierały.

Później znów na tym marszu narastać poczęła tradycja przeżyć żołnierskich. Pokochali ów marsz, pod dźwięki którego szli walczyć pod Krzywopłotami, pod Łowczówkiem; pod dźwięki którego to marsza defilowali po bitwach przed Wodzem swoim i w oczy jego wpatrzeni, odsłaniali wiernem spojrzeniem duszę niezłomną i hart, ciosami, stratami nigdy niezachwiany.

Tradycja narastała, ale marsz był niemy, tyle tylko, że grał. Dźwięki się przelewały falami melodji, melodja sama jednak nie wyrażała żołnierzom dokładnie ich myśli. I tu

znalazł się autor, porucznik Biernacki, który słowa pod marsz podłożył. Ale znów gdzie indziej, w jakimś innym bataljonie, byli też inni poeci znakomici, którzy nieco podobne słowa pod tę melodję układali.

Spór z tego powstał, wobec którego spór z Pana Tadeusza o Kusego i Sokoła czy też o zamek Horeszków byłby zaledwie igraszką. Ostatecznie oddano prawo autorstwa właściwemu autorowi, niemniej przeto stwierdzić należy, że i inni autorzy mieli trochę słuszności, sens bowiem samego utworu snuł się po wszystkich głowach i — jak się to mówi — wisiał wszędzie w powietrzu.

Więc bywa taki sens, który się snuje po wszystkich głowach. Ale też bywa taki, który jedna głowa wymyśli i wszystkie inne tym sensem obdaruje. Taką szczodłą głowę miał dla nas wszystkich Wieniawa-Długoszowski, żołnierz I-szej Brygady niezapomniany, co znaczy, że nie wieczny, tylko więcej niż wieczny, bo niezapomniany w żadnej największej choćby zabawie czy burdzie.

On to właśnie ułożył sporo wybornych piosenek żołniersko-polityczno-obyczajowych, które dyktował przez piszczącą słuchawkę polowego telefonu, niejako ciepłe jeszcze, wszystkim naszym bataljonom, połączonym telefonicznie o trzeciej godzinie nad ranem, celem odebrania wielkiego komunikatu wojennego ze wszystkich frontów: zachodnich, wschodnich, południowych i północnych, lądowych, morskich i powietrznych.

Takie to były czasy: straszliwe wiadomości, od których kruszył się świat, i zaraz po nich zuchwała wesołość legjonowego humoru.

Miłość ziemi, połączona z losem żołnierskim, włóczęga i przypadek, walka o honor broni z obcym sojusznikiem, a nad wszystkimi temi motywami — jeden stały, niezmienny motyw wiary, nadziei, opleciony wokół postaci Wodza — Józefa Piłsudskiego. Tej wierze, tej miłości daje

najczulsze, najpiękniejsze świadectwo piosenka legjonowa. Czem był wtedy Piłsudski dla młodych legjonistów, ile w ich sercach umiał wzbudzić nadziei, jaką w nich rodził wiarę, jaką dla nich był ulgą, jakim przykładem wytrwania i spokoju — o tem świadczą pieśni legjonowe najpewniej i najrzewniej.

I jeżeli jest chlubą tworzyć dzieła wieczyste i jeżeli przystoi dla twórcy dzieł takowych, by mu pomnik wznoszono z granitu czy ze spiżu, to chyba jeszcze piękniejszym, gdyż żywszym, obrotniejszym pomnikiem jest ten właśnie, który wdzięczni żołnierze-legjoniści trzech brygad wystawili, a raczej wyśpiewali po wsze czasy Wodzowi swemu w żołnierskiej swej piosence.

TWÓRCA NOWYCH WARTOŚCI*

Na cóż to kiedyś chorowaliśmy, cóż nas kiedyś złamało? Moralista palcem ukaże wady, łatwiej mu bowiem orjentować się w cnotach, niż w życiu. Historjograf jednak, rozważając sprawę upadku Polski w XVIII-tym wieku, mógłby chyba powiedzieć, że zarówno cnoty jak i wady ją zgubiły. Taka to bowiem bywa rafinowana logika Historji, że cnoty mszczą się niejednokrotnie narówni z wadami, nim z jednych i drugich, z cnót i z wad, wyłoni się najtrudniejsza — cnota najczystszej miary.

Nie przesadzę chyba, gdy powiem — wady nasze w cieniu pozostawiając — iż cnót naszych krwistych starczyło aż nadto, byśmy się zachwiali i upadli. Słowianie, a zarazem wtajemniczeni łacinnicy, humaniści, a zarazem ludzie świeży, jurni, rubaszni, a zarazem dumni mądrością klasycznej kultury — przez wieki całe parliśmy na wschód, z impetem godnym młodości, niosąc tam wzniosłe światła Zachodu. Gdy naród dąży pędzony siłą młodości, każda ziemia, na której stopę postawi, zda mu się zawsze do dziś niczyją, a już od jutra jego ziemią, to jest ziemią zwycięzcy.

Ileż tych ziem niczyich — zwycięzcy zda się zawsze, że świat cały na niego czeka — czekało na wschód od dawnej Rzeczypospolitej Polskiej?

Szli ku tym ziemiom i osiadali na nich aż po kresy czarnoziemnych stepów, aż za szare rozłogi Białej Rusi i aż hen, pod święte cebule moskiewskich cerkwi — polscy rycerze, i już zaraz wielmoże i już książęta i już zaraz królewia.

Potężne Państwo Polskie czuwało nad nimi, wiążąc ich umową i prawem z tymi, do których szli. Nie starczyło

*) Odczyt wygłoszony na zaproszenie Deutsch-Europäischer Kulturbund i Deutsche Gesellschaft zum Studium Osteuropas w Berlinie, Lipsku, Hamburgu i Monachjum w r. 1935-tym.

jednak na tych panów i wielmożów potęgi Państwa, oni bowiem sami przerabiać je poczęli i przetwarzać na obraz i podobieństwo siebie samych, wielkich zdobywców, panów, wybranych, zaiste jednych jedynych!

Takaż to bowiem przecie i jest logika, takaż to jest kara tkwiąca w dumie zwycięzcy: że naprzód najwyższym się mieni i jedynym wśród obcych, później zaś pośród swoich również za jedyne go uchodzić pragnie. Religja jego jest jedyna, prawo jedyne i obyczaj jedyny.

Cały naród jedynych! Cały naród tak dalece jedynych i wyłącznych, że wkońcu obcych sobie, do wspólnego działania niezdolnych. Cały naród wybrańców, którzy, gdy burza z zewnątrz nadeszła, padali po jednym, rozproszeni, szukający dawnej, wspólnej, utraconej duszy. Bili się, cierpieli, umierali przykładnie za Ojczyznę, nie mogąc w niej znaleźć siły, któraby ich dość mocno razem sprzęgła, nie mogąc już znaleźć w Ojczyźnie Państwa swego.

Zapomnieli, czem jest i kim jest Państwo, choć go szukali, po wszystkich drogach upadku napróżno brocząc krwią.

Może Państwo to postęp?... Rozbroili się przecież na sejmie grodzieńskim, słuchając ducha wielkiej epoki encyklopedystów.

Może Państwo to prawo ludu? A przecież Kościuszko, bohater polski, zmieniający kontusz szlachecki i szlify generała waszyngtońskiego na siermięgę chłopską, upadł wśród tych rycerskich żołnierzy, by się więcej nie podnieść.

Może Państwo to wiara i odkupienie? Misja, mesjanizm? Wydali z tychże kresów, na których ongiś los połowy Europy przegrali, wydali z tychże kresów poetę Mickiewicza, którego słów starczyłoby, by wszystko odbudować w duchu, lecz których to słów zabrakło, by żołnierzowi dano rozkaz właściwy.

A może Państwo to tylko rewolucja? W roku 1830 pobiegli z bagnetem na broni za satrapą, lecz rewolucja ich

ugrzęzła właśnie pośród straszliwych maszkar praworządności, wyświadczanej najeźdźcy.

Więc może Państwo to czysty idealizm? W roku 1863 pobiegli w lasy z kijami, z widłami na armaty, by — jak się to ich dzieciom zdało — upaść już chyba na zawsze.

Rzecz szczególna: wszystkie te drgnienia i porywy wielkie, tragiczne w jednostronnym rozmachu, lecz wspaniałe w ogromie swej rozpacz, wszystkie one mają za swych orędowników ludzi z kresów. Jakgdyby ziemia kresowa przeryta, przepojona uwięzłym w niej porywem, oddawała teraz Narodowi najszlachetniejsze czyny i myśli przeszłości, przetopione w czyny ofiary i zadośćuczynienia dawnym winom.

Tam to na kresach tych objawił się, stamtąd przyszedł człowiek, Józef Piłsudski, którego praca zamyka w sobie integralnie wszystko, co tamte pokolenia powstańcze spełniały tylko ułamkowo. Nie masz zawodu, nie masz służby wolności, nie masz sposobu walki, nie masz ryzyka, nie masz terminu cierpliwości, nie masz zemsty swoich i obcych — którejby nie doświadczył w tej pracy.

Państwo to postępek, państwo to prawo ludu, państwo to wiara, misja, mesjanizm, państwo to tylko ofiarny idealizm?! Wszystkie te ścieżki przemierzył, przed każdym z tych ołtarzów ofiarnie płonął, on, robotnik, tajny drukarz, tajny kolporter, wobec pracy którego praca Kościuszki była jeszcze rajem, fanatyk, wobec wiary którego wiara straceńców z 1863 roku mogła być chyba uchodzić za rozumną pewność, rewolucjonista, podejmujący najgłębszą i najniebezpieczniejszą rewolucję — od bomby rzuconej na bruk zhańbionej stolicy Polski aż do przekształcenia duszy swego narodu.

Życie tego człowieka to przypowieść, którą w perspektywie czasu wieńczyć będą Polacy cały okres niewoli stu pięćdziesięcioletniej. Wspomną, iż wtedy to a wtedy

zachwiała się równowaga Państwa, że się potknęło, upadło, lecz że oto zaraz zjawił się mąż opatrnościowy, który równowagę przywrócił. Zawsze bowiem praca czasu w historii takim torem idzie, że zło wytrawia z pamięci dziejów, dobru zaś szczerze rozszerza błogosławione jego okresy.

Młodość Piłsudskiego upływa w Wilnie, a przypada na pierwszy okres po powstaniu 1863-go roku, to znaczy na te chwile, gdy łyż i krew nie obeschły jeszcze z lic narodu, któremu zdawało się, iż po klęsce zmądrzał, skoro marzenia o walce jął porzucać i o majątku zaczął myśleć, o stanowisku w niewoli, o jakimś rozwoju organicznym — w niewoli.

Po jednej stronie te właśnie myśli trzeźwe, po drugiej resztki marzeń i broń strzaskana i poetyckie tajne testamenty. Po drugiej już tylko legenda!

Piłsudski — za legendą. Więc osądzony, wywieziony na Syberję, skazany na puszcę mroźną, otoczony przedziwną statystyczno-socjologiczną łamigłówką, jaką dla imperjum rosyjskiego i dla świata układali skazani na katorgę rosyjscy socjaliści.

Piłsudski wie, że tylko ofiarna praca losy świata buduje. Po powrocie z zesłania, został człowiekiem pracy, która jest chyba najfantastyczniejszą przypowieścią energii, jaką na początku XX wieku wydobył z siebie mąż czynu dla sprawy społecznej i narodowej.

Piłsudski, pozbawiony prawa zamieszkania, ścigany, poszukiwany, tropiony, z zawieszonym wciąż nad głową wyrokiem śmierci — tworzy tajną drukarnię. Wydaje pismo *Robotnik*. Rozrzuca je po skupiskach robotniczych, prowadzi robotę partyjną, stwarza organizację bojową. By zmylić za sobą ślady pogoni, przemierza olbrzymie przestrzenie dawnego imperjum rosyjskiego. Jako typ, wzór, genjusz organizatora — staje się mitem innych narodów, śniących o wyswobodzeniu z pod panowania caratu.

W chwili wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, gdy lud

polski ma dać swą krew w szeregach rosyjskich za panowanie Rosji w Azji, Piłsudski, na czele robotników, zbrojnie występuje na ulice miast polskich. Sprzyja Piłsudskiemu garść robotników, część oświeczonego społeczeństwa, część młodzieży. Ale postawa całego społeczeństwa? Albo nie chcą wiedzieć, albo czekają, że zginie i stanie się jeszcze jedną legendą, któraby jako wyjątek potwierdziła prawo poddania się niewoli. Lecz Piłsudski nie ginie, walczy na czele topniejących szeregów swej organizacji.

Po pokoju rosyjsko-japońskim — jest pobity, Rosja całą siłą gniecie wszelkie drgnienia wolnościowe. I już wtedy osiąga Piłsudski najwyższy poziom wodza: zachować ducha zwycięstwa w przegranej! Prowadzi ostatnią rozprawę pod Bezdunami, przedsięwziętą celem moralnego podtrzymania swych szeregów. Zwycięża i ludziom swoim przekazuje suggestję, iż mimo wszelkich korzystnych, dobrych możliwości, on sam zaprzestał walki.

Zwycięski duch wśród wszystkich klęsk! — to głos dziejowego hasła które tętni we wszystkich przedsięwzięciach tego człowieka, to głos bez którego Mąż ten nie poprowadzi nigdy swych ludzi, by śmierci w oczy spojierali.

Otoczony szeregami swych rozbitków w Małopolsce, gdy bojowcy jego z ran jeszcze nie wydobrżeli, już tworzy nową siłę. O ironjo! Bez podatków, bez koszar, bez uzbrojenia, bez rynsztunku tworzy Związek Strzelecki czyli zawiązek wojska. Nim jednak weźmie się na dobre do tej roboty, musi jej przydać skrzydeł. Musi rozbudzić marzenie, któreby połączyło się z duchem starej tradycji, któreby wionęło w przyszłość tej pracy porywem romantycznego słowa.

Więc oto siłą natchnienia zgromadził już wokół siebie najpotężniejsze pióra owoczesnej Polski, nazwiska, które w naszej literaturze pozostaną na zawsze. Wyspiański, Żeromski, Sieroszewski i inni tworzą literaturę przyszłych żołnierskich i państwowych zadań.

Zwycięski duch — głos tego hasła słyszy młodzież owych czasów i duszę swą oddaje Państwu, którego jeszcze nie ma, więc duszę swą na rzecz owego Państwa oddaje w ręce Człowieka, który nie przyrzekł nic, niczego nie obiecał, ale który sam jeden na obszarach niewoli narodu poczuł się pierwszy żołnierzem tego Państwa.

Od tej chwili, od założenia Strzelca, zaczyna się dla Piłsudskiego kreślenie przed narodem oraz jego historją idealnej linii najszczytniejszego obowiązku.

Strzelec — zawiązek wojska, kolebka przyszłej siły, najwyższa energia wszystkich przyszłych bitew i wojen, gospodarstwo przyszłej moralności Państwa, zakon wysoce osobliwy! Trwa się tutaj i służy, jako kadra wojska, którego jeszcze nie ma.

Wiele kiedyś mówiono o ćwiczeniu tybetańskich zakonników, o trudnych próbach hinduskiego kapłaństwa: nie przesadzę chyba jednak, gdy powiem, że wychowanie strzeleckie nie o wiele łatwiejszą stanowiło dyscyplinę. Tu bowiem, w Strzelcu, pilnie, wiernie, codzienną ofiarą indywidualności, codziennem wyrzeczeniem się wszelkiej pychy, codzienną pokorą żołnierską sposobiono się do zadań przyszłości.

Na czele takiego wojska, złożonego z kilku tysięcy ludzi, wyruszył Piłsudski w 1914-tym roku 6-go sierpnia, ku zdumieniu państw centralnych, a zakłopotaniu czynawet zgrozie własnego społeczeństwa, na wojnę światową. Dziesięć dni zaledwie trwał wolny, sam ze swoim oddziałem w obliczu Historji. Liczył, że porwie społeczeństwo, że na olbrzymich terenach dawnej Polski, dzięki entuzjazmowi narodu, Ojczyzna stanie się ciałem, postacią historyczną i sama młodemi ramionami ujmie prawo walki na tej ziemi we własne, władne ręce.

Pomylił się. Przez dziesięć dni, w czasie których zaczynał Piłsudski tworzyć precedens historyczny, stracił wszystko. Część społeczeństwa nie przyznała się do Niego, część

inna wytworzyła nową formę poddaństwa i posłuszeństwa dla ruchu powstańczo-strzeleckiego w postaci poddanych dowództwu austriackiemu Legjonów.

W dziesięć dni, gdy On szedł w głąb przyszłości narodu, cała przeszłość niewoli przysięgła się, by odebrać Wodzowi wszystko, aż do dowództwa włącznie, aż do honoru włącznie!

Taki był sens przysięgi narzuconej oddziałowi Piłsudskiego przez rozum polityczny kraju. Przysięgę służby w obcym wojsku, jakże pogodzić z tem wszystkim, co zapowiadał swym strzelcom Piłsudski?

Przysięgać — nie przysięgać?

W tych to chwilach najcięższych zabłysła na kwaterze strzeleckiej w Kielcach w 1914 roku inna, wyższa przysięga; rzekłbym, pierwszy choć niemy akt prawny odrodzonego Państwa Polskiego oraz jego wojska. Obok przysięgi na służbę w obcym wojsku, bezsłowna, w milczeniu tajemnicą dusz umówiona przysięga strzelecka, złożona przyszłej wolnej Ojczyźnie na ręce Piłsudskiego.

Bezsłowna! Należy bowiem wiedzieć i pamiętać, że Człowiek ten posiadał hermetyczną zaiste wiedzę ustanawiania najpoważniejszych rzeczy zapomocą domyślnego milczenia, które wszyscy zawsze bezbłędnie rozumieli.

Piłsudski w przeciągu dwóch lat dochował wierności w służbie u obcych, równocześnie jednak ani przez chwilę nie zawiódł Ojczyzny. Jak rozwiązywał tragiczne antynomje dwóch sprzecznych obowiązków?

Czerpiąc z jednego zawsze źródła — żołnierskiego honoru.

Ileż razy w tych czasach, gdy każdy dzień oplącał krwią swego oddziału, ileż razy w tych czasach był samotny ze swym wojskiem, bez pociechy, nawet bez cienia Ojczyzny przy sobie, sam pomiędzy honorem a śmiercią.

Wśród takich oto dwóch granic, On, dowódca beznadziejnej, zdałoby się, *anabasis* powstańczej, zdobył najcenniejszy talizman wodzów: stał się zakładnikiem przy-

szłości i najwyższą postacią honoru w oddziale, który Ojczyzny nie widząc wokół siebie, bił się i ginął często już tylko poto, by dochować swej wiary dowódcy.

Ta oto sprawa bolesna i wspaniała — to I-sza Brygada Legjonów, I-sza Brygada Piłsudskiego, kadra do dziś nieprześcigniona w całym życiu państwowym i życia tego fundamentum moralne. I-sza Brygada, którą pozwoliłbym tu sobie określić w zdaniu: dla celu, który cię już odrzucił nawet, który chociaż przeciwko tobie się obraca — trwaj i giń... Tak ci każe twój honor, tak ci każe ten Nikt historii ludzkiej, jedyny, nieuchwytny, bez którego żadne wartości nie istnieją.

Najczystsza miara idealna, rozpięta nad niziną kompromisu.

Ugodowcy mówili Piłsudskiemu: szaleństwo — i — cóż za dyplomacja — abstrakcja — marnowanie młodzieży — donkiszoterja!

Ale gdy się znaleźli nagle sami w zniszczonym kraju, a Piłsudski w roku 1918-tym powracał z zamknięcia w twierdzy magdeburgskiej, siła Jego moralna była już tak bezsporna w Ojczyźnie, że ledwie się zjawił w stolicy, gdy Go dyktatorem okrzyknęli.

Okrzyknęli — wybrali?... Prostu zaraz przyszli do Niego, jakby już z przyczyny powrotu do kraju i ciężkiej sytuacji ogólnej samo przez się miało się rozumieć, że to On, twórca I-szej Brygady, ma być dyktatorem.

W chwili tej praca Piłsudskiego nad odrodzeniem narodu odniosła zwycięstwo zupełne. Czy trwałe?

Osadzony na tronie piorunów dyktatorskich, mający wojnę na wszystkich granicach, jako naczelny wódz organizujący nieomal że poszczególne bataljony, zagrożony od pierwszych dni swej dyktatury przez frondę przeciwników politycznych, zagrożony też przez głód, dewaluację, inflację, rewolucję, o czymże marzy ten człowiek? By nową

Polskę, pełną jeszcze schyłkowych nałogów XVIII-go wieku, przenieść bez krwawych plam w wiek XX-ty.

Cnota miary najczystszej — i dzień powszedni odrodzonego żerowiska... Duchy przeszłości, które osaczyły Piłsudskiego w roku 1914-tym, gdy wyruszał w przyszłość Narodu, miałyżby się cofnąć, gdy trwając z wojskiem na wszystkich granicach władzę swoją dyktatorską jał przekazywać ogółowi? Zwoławszy Sejm, Naczelnik oddawał mu władzę, nieomal że sam własnoręcznie sposobił pałac narad dla wyglądanej, wymarzonej przez siebie demokracji polskiej.

Ona miała budować prawo kraju, miała formować wytyczne nakazy duszy Państwa, On miałyby już tylko osłaniać tę pracę siłą swego oręża. Ale Piłsudski — rzekłby ktoś postronny — nie przemyślał tej sprawy do końca i przeliczył się co do wartości ludzi, na których spoczywał honor nowego parlamentaryzmu. Piłsudski powinien był przewidzieć, że na mocy szerokiej ordynacji wyborczej sejm zaludniony zostanie dwuznaczną demagogią...

Myliłby się, ktoby tak osądzał Piłsudskiego. Znał on społeczeństwo polskie jak nikt. Ale w myśl głębokiej zasady dopuszczania, by się procesy szkodliwe wytrawiać musiały i oczyszczać w twórczej pracy moralnego środowiska, dopuścił w owej chwili cały naród do władzy.

Jakże tragiczne było to spotkanie narodu z władzą! Zebrawszy sejm, znalazł się Piłsudski znowu w obliczu Polski z XVIII-go wieku, w obliczu starych grzechów, pokutujących w najnowszym pokoleniu. Straszna dawna maskara, tysiąc już razy głosami wieszczów potępiona, łzami niewoli omyta, odżyła oto znowu, rzucając się na wszystko, ciężąc intrygą na wojsku, bobrując w skarbie, mącąc sprawy wewnętrzne.

Jakbyśmy znowu musieli zaczynać od tego, co nas kiedyś zgubiło!

Hoplisci *anabasis* Piłsudskiego ze zgrozą spojierali ku

Naczelnikowi. On zaś, zwycięski wódz i twórca Państwa i szafarz swobód parlamentarnych, doczekał wreszcie tego, że ta maskara, która ongiś w 1914-tym roku odmówiła I-szej Brygadzie Ojczyzny, teraz siebie okrzyknęła Ojczyzną.

Polska dla jedynych tylko, wybranych, dziedziczących, uprzywilejowanych, czy Polska wszystkich obywateli, nowy dom, w którym dla dobra wszystkich pracują pospołu wszyscy?

Cóż postanawia Piłsudski? Piłsudski, owoczesny szef sztabu, całą siłę kraju trzymający przecież w swem ręku: jedno słowo jego, jeden rozkaz — i maskara, niczem pałuba gliniana, rozleciałaby się od jednego uderzenia.

Piłsudski nie zna uczuć zemsty. Cecha ta sprawia, że tak trudno orientują się w Jego taktyce ludzie, którzy z Nim walczą. Ktoby Go podejść pragnął i odgadnąć, niech go szuka nie w wirze namiętności odwetu, lecz niech podąża za Nim na tę wyżynę jedyną i samotną, gdzie wielkość w obliczu srogich imperatywów spowiada się swojemu przeznaczeniu. W spowiedzi tej jakże innych nabiera barw utrata czy pożytek i inaczej czas płynie, mierzony miarą duchowego spełnienia, nie zaś zwykłą, materjalno-przestrzenną.

Narażając — jak zresztą tyle razy — pracę całego swego życia na najwyższe ryzyko, Piłsudski, rzekłbyś, iż w myśl życzenia wrogiej sobie maskary, opuścił sprawy Państwa, odszedł od nich, wycofał się po śmierci prezydenta Narutowicza ze wszystkiego, stając się w wywalczonem przez siebie Państwie — cieniem. W tylu trudnych przeprowadach, wśród tylu ofiar poniesionych dla sprawy, ta ofiara była chyba najwyższą, najtrudniejszą.

Twórca siły zbrojnej, twórca granic, organizator całej pracy państwowej, zwycięski wódz — cieniem we własnej Ojczyźnie! Lecz oto cień ów swoją wagą moralną począł z każdym miesiącem, dniem, godziną i sekundą znaczyć

coraz dosadniej przez sam fakt swego istnienia. Życie Państwa szło niby własnym torem, lecz mechanizm, pozbawiony równowagi moralnej, począł rdzewieć i trzeszczeć.

Partyjna maskara, ci wszyscy, którym tak przeszkadzał Piłsudski, znaleźli się bez Niego w próżni swych ziemskich, nader ziemskich apetytów.

Aż oto wszystko zaczęło chwiać się, cień zaś stawał się znowu ciałem, życiem i upomnieniem i wreszcie straszną groźbą. Okazało się bowiem w tych trzech latach, gdy życie Państwa szło niby własnym trybem, a Piłsudski trwał w swem duchowem wygnaniu, że to nie wódz od Państwa swego odszedł i nawet nie Państwo wodza swego porzuciło, lecz że to równowaga duszy zbiorowej przechylona została. Wielkość bowiem tej duszy zbiorowej świeci w samotni Piłsudskiego, Państwo zaś traci siłę rozkazu, traci cnotę przymusu, gdy się wyrzekło tych wyżyn moralnych, które osiągnął jego Twórca.

Rozgrywka zbrojna, jaka po tych trzech latach nastąpiła na ulicach Warszawy, to już był tylko ostatni i największy kielich goryczy wychylony przez Piłsudskiego i już tylko materialne rozegranie procesu duchowego, powyżej wskazanego.

Od tej chwili, gdy to się stało i spełniło, coraz głębiej i głębiej patrzą sobie w oczy i coraz jaśniej odczytuje ze źrenic tego człowieka drogę swych przeznaczeń naród polski: drogę nowych wartości swego życia w odrodzonym Państwie.

Państwo to, do którego przyprowadził swój naród Piłsudski z domu niewoli, w którym osadził naród wyzwoliwszy z pokusy pasorzytowania wzajemnego na sobie samych, państwo to objawia się w całym twórczym natchnieniu Piłsudskiego, jako wysoki, szczytny system moralny. W systemie tym, wszystko, co stać się ma, musi być poczęte z pnia wieczności, by później w ziemskim

bytowaniu zakwitło trwałem życiem. W systemie tym wszystko, co wytrwać ma, musi własny swój kształt, własną formę ofiarnie przewyciężyć na rzecz młodości życia. I niemasz w systemie tym miłości aż do miłości brata, aż do miłości samej nawet legendy, którejby na rzecz dobra powszechnego nie przewyciężono. System ten bowiem wywodzi się, jak rzekłem, z pnia wieczności, to jest z idei stale przytomnej odpowiedzialności moralnej wobec tego, co teraz jest, co było i co będzie.

Skrzydła nieśmiertelności, szumiące w dniu powszednim.

Tylko człowiek, który w wieczności trwa, przeżyć potrafi godnie powszedni dzień. Ów dzień powszedni, najwyższą cnotą w każdej sekundzie swojej ogrzany, rozjaśniony, to jest ta dziwna dyktatura Piłsudskiego, o której tyle mówiło się na świecie, a której obcy z przelotnego rzutu oka wyrozumieć nie mogli; dyktatura bez żadnych oznak, żadnych różeg liktorskich, żadnych mieczów i innych widomych groźnych znaków. To jest ta dyktatura osobliwa, wcielona w przedziwnego Człowieka, który walczył o dobro zawsze, nie wiedząc, co to zemsta, i który gdziekolwiek stanął, gdziekolwiek czegokolwiek tknął, natychmiast sprawiał, że gdzie On, tam źródło prawdy i odpowiedzialności wobec losów Ojczyzny wynikało.

Człowiek ten bowiem, wcieliwszy w dzień powszedni Państwa najwyższe stopnie wiary, honoru i cierpienia, stał się w odrodzonym narodzie samą duszą Ojczyzny.

OSTATNIE WIDZENIE

Kiedyśmy stali z prezesem Polskiej Akademji Literatury Waławem Sieroszewskim w Belwederze u zwłok naszego Wodza i kiedy Sieroszewski drżący, spłakany zawołał nagle: — Jak my to mamy przeżyć, no powiedz, powiedz, jak my to mamy przeżyć?! — objąłem mego przyjaciela i mistrza, jakbym to ja był starszy, a on młodszy, oraz jakby był we mnie jakiś rozum, który mi daje prawo do pocieszania o tyle starszego i mądrzejszego ode mnie człowieka. I ukazałem Sieroszewskiemu raz jeszcze, gdzie się znajdujemy, wobec kogo?...

Mocny Boże! Wobec oblicza Wodza, które ostatni raz oglądamy; wobec tego oblicza już zastygłego, a które z pośród sztandarów i orłów i z pośród połysku szabel warty żałobnej łśni wciąż tym samym majestatem, jakim panowało w życiu, majestatem nadludzkiego powołania.

Więc temu oto Sieroszewskiemu, temu oto bardowi syberyjskiemu ciemnych mroźnych czasów niewoli naszej, powiedziałem tak:

- Ależ Sireczku, nie płacz!

Wtedy jednak on przerywa mi ze skargą:

- Nigdy w życiu nie płaczę, choć tyle już widziałem, tyle, tyle, przeżyłem. A teraz płaczę, bo mam pęknięte serce. Ach, lepiej, żebyśmy to my poumierali!

Więc mu szepczę do ucha, trzymając tę postać drobną i szanowną wielce w swoich ramionach:

- Nie możesz tak robić i mówić. Patrzące na wartę honorową. Musisz pamiętać, że jesteśmy Jego żołnierzami. A cóż, nie pamiętasz, jak nas uczył? Jakiego stylu?

Drodzy moi czytelnicy! Mówię drodzy, wszyscy bowiem zbliżyliśmy się teraz ku sobie więcej, o tyle więcej i bliżej, o ile ten ból ogromny doznanej straty wspólnie teraz znosimy! Gdy napomknąłem o tem, jak On, nasz Wódz,

uczył nas i mianowicie jakiego stylu, żebyście mogli byli wiedzieć wszystko piękne, najprostsze, najpoważniejsze, co się w oczach Sieroszewskiego wymalowało.

Poprzez krople obfitych łez i dalej w głębi, za siwo-niebiską barwą, przerażonych, od bólu aż zda się niewidomych źrenic — opamiętanie obowiązku, przeświadczenie o posiadaniu rozkazu. Powiem więcej: Jakgdyby pewność o posiadaniu stanowczego przeznaczenia, które otrzymaliśmy przecież od naszego Wodza, a które stanowić musi o naszym zachowaniu, o gatunku naszego postępowania na zawsze i na codzień.

Niby tylko kilka słów zaczerpniętych z pozostawionej nam spuścizny wielkiego Odnowiciela Polski, a okazuje się, że przykład Józefa Piłsudskiego odrazu podziałał na nas, starych i zbolełych Jego żołnierzy, jak czarodziejskie zaklęcie: gdym powiedział Sieroszewskiemu tam przed zwłokami Wielkiego Męża, który nietylko, że był treścią najszlachetniejszych porywów naszego pokolenia, ale który treścią zwycięstwa nappełnił losy niewoli naszej, który radością potęgi nappełnił losy naszego narodu... gdym podsunął Sieroszewskiemu kilka słów o tym przykładzie, jaki nam daje Piłsudski, stary, świetny pisarz zmógł się i jakoś zamknął w sobie bezbrzeżne swoje cierpienie.

Wyszliśmy, złożywszy podpisy w księdze pamiątkowej. Żalсна bolesność takiego składania podpisów w Belwederze naszemu Wodzowi, Wodzowi nowych, odrodzonych czasów Polski, a jeszcze poza tem naszemu Przewódcy, Wodzowi Związku Walki Czynnej i brygadowemu i legjonowemu i peowiackiemu i człowiekowi, w ręce którego złożyliśmy nasze zwykłe, szare, ludzkie życie, a On, On przecież sam z tego szarego życia, z tych zwykłych szarych kamyków porobił cenne kamienie.

Niepodobna wyrazić, na czym polega nigdy nieodparta rozpacz, że niby w Belwederze, gdzie przychodziliśmy

podpisywać na imieniny, na rocznice Jego zwycięstw, Jego czynów, które były radością Ojczyzny i Jej sławą przed światem całym, przychodzimy podpisać teraz Jemu, Wodzowi Polski, jakby niby taki jakiś papier ostatni i od nas wszystkich taki niby dokument z Ojczyzny na wieczną drogę.

Przecież to za Jego podpisem jeździliśmy z obozu do kraju, do innych robót, za Jego podpisem osiągaliliśmy stopnie w pracach naszych, za Jego podpisem stawaliśmy się coraz wyższymi, coraz lepszymi ludźmi, za Jego podpisem mamy po domach naszych poprawiane w ramach dowody Za Wierną Służbę.

A tu nagle On już nic podpisać nam nie może, gdy na ostatniem posłaniu spoczywa i z pod przymkniętych powiek nieśmiertelnością na nas patrzy — my zaś wszyscy schodzimy się, zbieramy i ten ostatni akt drogi wiecznej Jemu podpisujemy.

Potem wyszliśmy, wszyscy koledzy z Akademji Literatury, którą — bo i to przecież On — On pierwszy, jak głosi odezwa Akademji, „na warsztat potężnych robót Państwa wprowadził“. Wyszliśmy na taras belwederski, na którym już nie jest tak, jak gdy tam żył i pracował Pierwszy Marszałek.

Już nie jest tak i nigdy nie będzie, choć niby tak samo bije woda w wodotryskach i taki sam widok się ściele ku ciemnym smugom lasów wilanowskich. Nie jest, jak kiedy On tam był i tak nie będzie, bo już nie powtórzy się ta istność w otoczeniu tych murów, rzeczy, roślin i ludzi i drzew i nieba i czasu — istność, która takim czarem skupienia ujmowała wszystko wokół siebie.

Koledzy z Akademji idą ku bocznej furtce, a my z Sieroszewskim nieco z boku. Nie dlatego, żebyśmy się od kolegów oddzielali, tylko już tak się składa, że wspólne

nasze wspomnienie, wspólny zawód i dawna służba wspólna razem nas dwóch prowadzi.

Nie może być inaczej! Ileż bowiem razy wychodziłszy tak we dwóch od Wodza naszego, czy to, że chciał pogadać z nami, czy, że nas z obozu do kraju wysyłał na jakieś emisarskie prace, rozmowy i pisaniny.

Więc idziemy zpowrotem — tylko, że znów nie tak, jak dawniej. To już nie dawny Sieroszewski, nie dawny Sirek ognisty i już nie dawny ja.

Wracamy, oczom trudno patrzeć pod słońce, tłum sięga już do pół alei Ujazdowskich. Idziemy, nic nie mówiąc, jeno trzymamy się we dwóch, a ludzie, którzy razem walczyli i z ciężkich okazji razem wychodzili i potem razem bez słowa powracali, rozumieją, co znaczy iść tak we dwóch, nie mówić nic i tak się jakoś trzymać i tak się jakoś takim trzymaniem wspierać.

Więc idziemy, aż tu nagle mój prezes puszcza mą rękę, zegarek z kieszeni wyciąga i srogo na ten zegarek patrzy i powiada godzinę, która jest, czy jest dobra?

Sprawdzam u siebie i odpowiadam, że dobra.

Na to zaś Sieroszewski powiada, ale to głosem skupionym i stanowczym, jakbyśmy do szturmów mieli iść:

- Odprowadź mnie do Ministerstwa Oświecenia, bo mam tam posiedzenie.

- Jakie? — pytam.

Powiada:

- Oceny książek dla młodzieży.

Idziemy szybszym krokiem, a on znowu zaczyna:

- Polska, Polska. I mówisz mi o Jego stylu. Ach, ja to wiem, Juljuszu. Piłsudski przecie zawsze taki był. Polska, Polska. To musi iść tak samo! Niech oni tam zobaczą w ministerstwie, że nawet dziś, nawet dziś nie spóźniłem się ani o pół minuty. Chociaż mi serce pęka. Żebyś wiedział, że pęka. Idziemy, chodź, idziemy. Ani, o pół minuty.

Znikł pod stropem ministerstwa, ja pozostałem jeszcze na dziedzińcu, zasłuchany w tej chwili, w której wydało mi się, iż dokonywa się i wypełnia najczystszy styl Józefa Piłsudskiego: styl nieustannej, twardej służby, jedyną miarę posiadający nie w siłach i nie w czasie, nie w trudzie choć największym i nawet nie w śmierci, lecz w spełnieniu zadania.

Ten styl musimy oddać po nas naszym młodym następcom, a oni młodszym i znowu jeszcze młodszym i tak w takim dążeniu Józef Piłsudski nigdy nas nie opuści, zawsze wśród nas zostanie.

STYL JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski był wielkim żywiolowym twórcą, na miarę twórców Odrodzenia. Różnica między dziełem Piłsudskiego a dziełem mistrzów oddanych całkowicie poszczególnym dziedzinom sztuki na tem się zasadza, że podczas, gdy twórcy poszczególnych fachów pracowali w swoim wyłącznym zakresie, Piłsudski uzdolnienie swoje i wyjątkowe talenty artystyczne oddał przekształceniu całej epoki duchowej.

Było w takim stanowisku Piłsudskiego wiele z wyrzeczenia się własnych, osobistych radości twórczych i wiele, zwykłej Jemu, jakże szczodrej ofiarności. Gdyby sobie chciał pozwolić na zbytek ostatecznych wykończeń estetycznych, zostawiłby był zapewne po sobie dzieło pisarskie, zharmonizowane idealnie nawet pod względem formalnym, byłby też przekazał potomności zbiór mów, jakich Polska nie miała od czasów Skargi. Przecież piórem swoim umiał był przewycięzać opieszałość całego narodu, słowem umiał łamać nienawiść i przekształcać ją w zachwyt.

Komendant jednak nie dbał o formalną doskonałość swych poszczególnych nie to utworów, lecz akcji pisarskich, wychodził bowiem — sędzę — z tego założenia, iż Jego twórcze dane mają utworzyć otokę, aureolę czynów życiowych, ostatecznie zaś, że mają stworzyć piękno nowego stylu życia w Polsce.

Jakże Mu więc miało zależeć na mowie takiej lub innej, na jednym, drugim, trzecim wyborze mów, na jednym, drugim czy trzecim zbiorze pism, gdy On ku temu dążył, by mową swoją i pismem przewyciężyć całą zastaną epokę i sformować nową, własną, doniosłą, zwycięską epokę Józefa Piłsudskiego.

Jak przystało wielkiemu twórcy, nie mówił nigdy o swem marzeniu, nie rozmieniał go na rozprawy czy rozważa-

nia. Marzenie to spełniał niezmiennie z najskromniejszym uporem wielkości. Bardzo rzadko, chyba nigdy prawie nie mówił o sztuce polskiej, a przecież kochał ją, czerpał wspaniale z jej elementów i zawsze ją rozumiał jako funkcję duchowej wielkości narodu.

Rozumiał, jak mało kto, że niepodobna sztuki przymuszać, niepodobna jej niczego nakazać. Trudno chyba o człowieka czynu, o człowieka olbrzymiej woli, wciągającego w orbitę swych potężnych działań wszystkie czynniki życia zbiorowego, któryby z tak czułą ostrożnością zachowywał się wobec płochych, a przecie zarazem wiecznotrwałych zakresów piękna.

Piłsudski do swej dziejowej pracy potrzebował wiele tego piękna. Ileż go zużywać musiał był codzień, by przez lat kilkadziesiąt kilka pokoleń mogło wytrzymać pod rozkazami Wodza walkę nieomal że beznadziejną. Nie miał dosłownie czasu, by samemu tworzyć owe piękno. Nigdy go jednak nie wymuszał, nie usiłował nigdy piękności, potrzebnych na daną chwilę, rozkazać sztuce. W tych chwilach stawał sam przed ogółem, jako przykład, jako model czarujący i doskonały. Dawał innym, by z Niego samego tworzyli wzór.

Cała walka z romantyzmem polskim czy też nowe przewartościowanie tego romantyzmu, tak genialnie wy-czute i proroczco wywołane przez Wyspiańskiego — to przecie już On, Piłsudski i Jego pierwsze bojowe czyny. I nie tylko czyny same, lecz osobista postawa i słowo pisane.

Piłsudski był wielkim, do końca swych dni niespożytym, płomiennym romantykiem. Rozumiał jednak, że romantyzm niewyzwalany uczynkami walki staje się trucizną. Stąd niezrozumiałe napozór, a w zasadzie duchowej tak słuszne szyderstwo Piłsudskiego w stosunku do poświaty romantycznej, snującej się przez literaturę, i wspaniała, nawskroś romantyczna, bohaterska postawa Piłsudskiego

w uczynku. I stąd również w okresach najważniejszych, gdy trzeba działać najgłębszą istotą duchowej treści, samą — rzekłbym cudacznie — krwią duszy, owo natchnione, pełne ufnej miłości przypadanie Piłsudskiego w rozkazach czy odezwach do wielkich, świętych słów polskiego romantyzmu.

Bezpośrednim modelem dla piękna epoki stał się Piłsudski w latach 1905-7, w latach walki rewolucyjnej, gdy powstawała tak zwana literatura niepodległościowa z Żeromskim, Sieroszewskim, Daniłowskim i Strugiem na czele. Owa postać stanowcza a urocza, w Polsce nowa, postać wcielająca w siebie tłum szarych działaczy, a zarazem nadludzka prawie w nieustannej gotowości bohaterskiego powołania, postać szczytnego obowiązku wobec dziejów Ojczyzny, zawarta w formie najprostszej, w formie pokrzywdzonych praw pracy i wolności myśli, postać stanowiąca o nieśmiertelnym uroku całej szkoły Żeromskiego — to przecież właśnie On, Piłsudski, który tym pisarzom sam na cokole działania swego stanął, jako model nieskazitelny.

Tak więc to On, On sam tworzył wokół prac i walk odrodzeńczych otokę, aureolę piękną, którą przesycala swym czarem sztuka. Dbał czule i rozumnie, by się ta otoka nie rozwiała w zaniedbanej biedzie ówczesnego życia polskiego. Po rozprawie bezdańskiej, obstępiony przez inwalidów i rannych pierwszej, wielkiej, jakże trudnej wojny swojej, uszczuplił im wszystkim, aby w Krakowie założyć wielkie wydawnictwo KSIĄŻKA, potężne gniazdo literackie, Akademię wojującą, z której szłyby nowe słowa Jego epoki!

Jako twórca stylu zbiorowości, był Piłsudski mistrzem wytwornym a nieomylnym. Gdy pokolenie swoje chciał uczynić jeszcze bardziej stanowczym, jeszcze bliższym wyraźnego kształtu Ojczyzny, gdy działacza społecznego począł przekształcać w żołnierza, gdy z tym żołnie-

rzem wyruszył na wojnę światową — zaraz mu styl wybrał i sporządził, styl oparty na farysowskim, najromantyczniejszym dążeniu, a równocześnie zaprzeczający wszystkim gusłom i płaksiwym pięknostkom pogrobowego romantyzmu.

I tu znowu nam wszystkim, młodszym od szkoły Żeromskiego, objawił się w ogniu i w trudzie, jako model piękności żołnierskiej, od której dech nam zapierało w piersiach, piękności najprostszej, która z ostatniego brzegu życia dumnie spogląda samej śmierci w oczy.

Piękno stylu! Nie sądzę, by cierpliwość, pokora, wytrzymałość niepomierna, które wykazał w przewlekłej rozgrywce politycznej, zaczętej w Polsce w roku 1918, zwyciężonej 1926 i później dokończonych, nie sądzę, by się te cnoty i doświadczenia zasadały wyłącznie na pobudkach praktycznych potrzeby politycznej. Nic podobnego; przecie sam stwierdzał i ileż razy mówił, że nie o praktyczne tylko korzyści tu chodzi!

Zależało Mu bezmiernie, by czarodziejstwem własnego piękna przekonać przeciwników, by ich nie łamać, lecz przetwarzać, nie niszczyć, lecz przebudowywać. I zależało Mu na tem wielce, by w bolesnych zmaganiach nie utracił pięknej linii duchowej, by w tych walkach mógł pozostać wiernym swej szczytnej postawie. Poświęcał dla niej wiele korzyści doraźnych, społecznych, politycznych, stanowczo przekonany, że piękno indywidualności jest najsilniejszą rękojmią trwałości człowieka w strumieniu przemijania.

A gdy po walce tragicznej uczuł na swych barkach ciężar nie do zniesienia, zwrócił się przecie do nieśmiertelnych cieniów tego poety, który w dziejach pisanego słowa polskiego jest ucieleśnieniem burzy odrodzenia. Zwłoki tego proroka, Juljusza Słowackiego, do kraju przewieźć polecił i sam odprowadził na Wawel, by naród odczuł i zrozumiał, że nawet te niedawne ciosy najboleśniejsze miały swe źródło

w dbałości o dumę i czystość narodu. Taki to był styl Piłsudskiego, poczynany nie w miłości dzieł poszczególnych, lecz w zasięgu spraw całego narodu i epoki, taki to był ów rozmach, który sztuce polskiej narzucał cele i formował oblicze Polski, wyprowadzonej na schyłku XIX i w początkach XX wieku przez Piłsudskiego, z czasu niewoli ku czasom wolności.

On sam, autor, promotor tego zbiorowego stylu, własne, dzieło pisarskie tworzył jedynie wtedy, gdy Go od trudów bohaterskich odrywało przez wrogów narzucone więzienie lub przez swoich wymuszona bezczynność. Jakże to opanować żal, a jednak dość dobitnie tę okoliczność przypomnieć tutaj: pisał, gdy z za kordonu przedarł się był, pisał w Magdeburgu, pisał w samotni Sulejówka.

Mistrze krytyki oceniają kiedyś przedmiotowo, ile w prozie Piłsudskiego zawiera się uroku, jak żywotna obecność przyrody, ile miłego kunsztu w doraźnej obserwacji człowieka i jaka dal miłosa, choć wyniosła, gdy tego szarego człowieka, rzekomą opiłkę dziejów, wypadnie umieścić w perspektywie historii.

Mistrze słowa mówionego oceniają kiedyś, ile lwiej odwagi w Jego mowach, a zarazem szacunku dla słuchaczy, a zarazem nieposzlakowanej uczciwości wobec przedmiotu danej mowy czy rozprawy. Myśliciele odmierzają kiedyś, czy to, co nas w owych mowach bolało i obrażało i raniło, było zadawaniem cierpienia nam, czy też raczej odruchem duszy, która przez nas właśnie krwawo została poraniona.

Są to sprawy przyszłości, które zaiste wykraczają poza zasięg tej skromnej pracy. Celem jej było przypomnieć tylko pobieżnie, iż Ten, który nas odbudował i chwałą okrył, również i piękna dawał nam bez liku. Sprawą sztuki polskiej współczesnej, sprawą artystów polskich — piękno to, dane tak szczerze, zachować, jako niepowtarzalny już w dziejach kultury polskiej styl Józefa Piłsudskiego.

KOMENDANT A DZIECI

W latach 1918-tych i 1919-tych przeżywał Komendant upajający okres swej działalności. Oto brał w posiadanie jako Naczelnik Państwa ten sam kraj, te same miasta, dzielnice, które przemierzał dawniej, jako spiskowiec i działacz. Należąc do świty Piłsudskiego, miałem szczęście oglądać te dzieje pierwszych dni niepodległości, pełne głębokiej powagi i bolesnego prawie napięcia.

Po tylu latach tajnej współpracy, spotykali się oko w oko: wielki twórca i wojownik z tworem swoim utęsknionym, z odradzającą się Ojczyzną. Józef Piłsudski, ówczesny Wódz Naczelny i Naczelnik Państwa, organizując wojenną siłę, zatrzymywał się po drodze na postojach. Wylegała wówczas naprzeciw Niego cała ludność. Organizacje z chlebem i solą skupiały się na dworcu kolejowym. Naczelnik Wódz wysiadał ze swego pociągu i, po przesłuchaniu hymnu narodowego, słuchał przemówień.

Pamiętam *jak* słuchał. Widzę dotąd tę pochyloną naprzód postać, rycerski profil, rysujący się z pod daszka strzeleckiej czapki, zmarszczone brwi i błysk stalowo-niebieskiego spojrzenia. Słuchał wnikliwie z bolesnym niemal skupieniem, co mówią ludzie tej odcierpianej, odrobionej, odwojowanej przez Niego Ojczyzny.

W pewnej chwili — rzekłbym, że mam ten ruch Komendanta dotąd w oczach — prostował się lekko, poczem łagodnie naprzód się pochylał. Wiedziałem, co to znaczy. Znaczyło to, iż teraz przemawiają do niego delegacje dzieci. Gdy one zaczynały — zawsze ten sam czuły, łagodny ruch uwagi i tkliwości, ruch całej postaci Marszałka, jakoby ujętej nagłym urokiem.

Tak było wszędzie, gdy Go witali, od Białej Podlaskiej aż po najdalsze kresy na wschód i zachód szlakami czynów państwowych. W wirze prac, w zgiełku oręża, gdy dzieci

zobaczył — jakby olśniony nagle ujrzał prawdziwe, jedyne oblicze lepszej przyszłości.

Mówił przecież zawsze w Legjonach i zawsze mówił, gdy się już zdawało, że nam utonąć wypadnie w grzęzawiskach ugody: *Mam za sobą dzieci i młodzież, muszę zwyciężyć.*

Dla tej miłości cierpiał z pewnością wiele. Wszystko bowiem, co Komendant kochał, zawsze na próbę wystawiał i ogniem cierpienia doświadczał. Tylko, że tego cierpienia kochającego nigdyby młodzieży nie zwierzył. Wiedział, jak nikt, że uczucie głębokie w uczynkach ma dojrzewać i w czynie znajdzie najczystsze swe powietrze, nie zaś w natłoku słów lub wyznań. Jakże przekornie krył gorące uczucie dla swych najmłodszych legjonistów, nieraz dwunasto- lub czternastoletnich chłopców.

Wyśmiewał się z nich — „że to z domów rodzicielskich pouciekali, rozumiecie panowie, Bóg wie, co się wyprawia w tej Polsce, chłopak mniejszy od karabina i do Legjonów mu się zachciało!“

Wyśmiewał się, przedrzeźniał — wszakże to sam Komendant nazwał tych najmłodszych swych żołnierzy *dłubinoki*, że to niby roztargnieni, wszędzie na wszystko tak ciekawie się gapią, a z dziecinnego jeszcze nałogu w nosach dłubią. Ale gdy ogień na siebie ściągnęli, gdy wyskoczyli na przedpiersia okopów, aby z dymiących jeszcze pocisków armatnich zamki dla zabawy wykręcać, — promieniał dumą. Gdy mu zaś lista strat przynosiła tych *dłubinosków* z linii walki rannych czy zabitych — zwijał się i targał jak ranny lew.

Kochał dzieci i wierzył im, jak każda wielkość przyszłości wierzy. Dlatego to może ten właśnie Człowiek potężny, który wszystko wokół siebie przeistaczał i przetwarzał — dzieciom dawał zupełną swobodę. Wydaje mi się, że na tem polegał osobliwy talent Piłsudskiego jako wychowawcy.

Wiemy — bo mówił wiele o tem sam, nie krył się z tem i takie to było właśnie młode, godne, że się z tem nie

kryje — wiemy, jak wychowywał swe córki: jakby w łagodnym podziwie dla dzieci swoich prowadził je przez świat myśli, cnoty, walki i budowania, nie wpływając na nie, a tylko podchwytyjąc załączki myśli i dając owym początkom najprzydatniejszą sferę dojrzewania.

Wynikła z tego, od chwili gdy dziewczęta Piłsudskiego uważniej na świat poczęły patrzeć dziecinnymi oczyma, cała literatura i zbiór mądrości Marszałka i cała Jego postawa ojcowska, wyznawana w rzekomych bajeczkach, niewinnych niby przypowieściach, własnemu narodowi i wielkim mężom Europy. Kto je zbierze razem i uważnie przeczyta, przekona się, że Piłsudski kochał dzieci, jak lepszą przyszłość — a starał się dla nich, a żywił dla nich czułość, jak to czytamy w przykładach o wielkich ludziach tego świata; o tych wielkich, co to świat na swych barkach nosili, śmierć przezwyciężali, a jeden uśmiech dziecinnie zatrzymywał ich w pół drogi i pogrążał w tajemniczej zadumie.

Takim chyba uśmiechem tajemniczej zadumy było dla Piłsudskiego sławne przedszkole, które w Belwederze, w swoich pokojach, urządziła Pani Marszałkowa. Chodziły do przedszkola Jej córki oraz chłopcy i dziewczęta, dzieci żołnierzy czy urzędników czy wreszcie ludzi z miasta. Pan Marszałek nie minął żadnej okazji, by w życiu tego przedszkola nie uczestniczyć. Znał te wszystkie dziewczynki, wszystkich malców, z każdym umiał się rozmówić. Umiał — to znaczy, że Mu taki malec szczerze odpowiedział, a On znów, wielki wódz, niby zadziwił się takowej mądrej odpowiedzi, a malec dalej znowu swoje — i tak sobie rozmawiali coraz dalej i szczerzej.

Dopieroż, gdy przyszły imieniny 19-go marca! Cała Polska śpieszyła do Belwederu, ale jakżeby Piłsudski nie miał znaleźć czasu dla tej niejako już *swojej* gromadki dzieci? Znajdował całe pół dnia prawie.

Wyobraźcie sobie zawstydzoną radość tych czterdziestu

dzieciaków! Czuli, że schodzi pomiędzy nich żywa legenda Ojczyzny, czuli to wyśmienicie — wiem o tem od moich chłopców, którzy do tego przedszkola także chodzili. Poprzedzała Pana Marszałka w tych okazjach piramida pączków i ciastek. Uczennice i uczniowie pożywiali się skrzętnie, On zaś siedział między nimi, wodził za nimi radosnem spojrzeniem i rozmawiał.

Rozmawiał, stanowiąc równocześnie pokusę nadludzką — jakże to bowiem siedzieć na kolanach prawdziwego wodza prawdziwej Polski i nie dotknąć własnoręcznie marszałkowskich lampasów na spodniach i nie dotknąć orderów na piersi?!

Skąd wiem, iż dzieci czuły, że to żywa legenda Ojczyzny zjawia się między niemi w postaci Marszałka? Wiem to od moich chłopców, gdy powrócili z takich imienin w południe i jak burza wpadłszy do mieszkania, wrzasnęli obaj naraz:

- Był i rozmawiał z nami!

Pytam:

- Kto?

- Był i rozmawiał z nami Pan Marszałek!

Na to ja:

- Bójcie się Boga, o czem?!

Na to oni:

- O czem? Ha!

Tu oba tornistry wyleciały z łoskotem w powietrze.

- O tem z nami rozmawiał. A mnie wziął nawet na kolana i spytał, czem będę.

No cóż... Minęły lata, dzieci rosną, my coraz dalej odchodzimy w naszą stronę, On zaś działa już swem światłem wiekopomnem na firmamencie historii. Któż nie rozważa, któż nie szuka promieni tej postaci w naszym życiu codziennem?! Szukamy wszyscy, więc i ja z moimi chłopcami. I niedawno wieczorem, z gór powracając, znaleźliśmy raz jeszcze.

- Tak, tak, trudno pomyśleć — mówiłem — że Go pomiędzy nami niema.

Na to zaś moi chłopcy:

- A jednak, czy wiesz, że myśmy Go też znali? Rozmawiał nawet z nami.

I oto podnosi się ku mnie w błyszczeniu nocnem drobna twarz i mówi cicho:

- A już jeżeli On rozmawiał z kimś, to temu z kim rozmawiał, zostanie to na całe życie — i wogóle na zawsze.

KOMENDANT W STOSUNKU DO SZAREGO CZŁOWIEKA

Rok 1915-ty, wiosna. Stoimy na wzgórzach konarskich. Już świt przeminął, po bładem niebie rozlewa się słońce. Między jary i wąwozy sandomierskiej ziemi wnika piechota I-szej Brygady. Na lewo, za płowemi wzgórzami już się kotłuje, już się Austriacy szczepili z Rosjanami. Nad nami jednak słychać jeszcze świegot ptactwa dźwięczny, radosny, że aż serce człowiekowi omdlewa w piersiach z zachwytu.

Mimo trudu uprzednich dni jesteście na nogach dziś od trzeciej rano. Ze wszystkich oznak przed nami, z ruchu konnych, wpadających między pola, z pośpiechu patroli telefonicznych widać, że zapowiada się tu większa bitwa. Komendant spoczął na wzgórzu, skąd się w mgłach rannych ponosi widok — zieleń wiązana srebrem.

Stąd właśnie patrzy nasz Komendant i co widzi w terenie — porównywa z mapą. Pić Mu się chce. Niecierpliwi się, że nawet kilku łyków herbaty nikt nie ma.

- Mój sztab, no, co to jest za sztab — powiada — kropli wody nie mają!

Pobiegliśmy z Dzieduszyckim i pod którąś chałupą wyskomliliśmy cały garnek mleka.

Lada chwila ma powrócić ze zwiadów Belina ze szwadronem. Nie wracają — nad stroną, w którą poszli za lasem, wynika biały puch szrapneli. Chwila jest ważna. Od tego, co przywiezie Belina, zależy, jak rozporządzi na ten dzień walki swą Brygadą Piłsudski — a przecież ta Brygada, to jest wszystko, co ma Komendant w ręku, całe wojsko i jedyna nadzieja, wszystek skarb energii i dzielności.

Gdy oto tumult jakiś wszczyna się pod pagórkami i szamotanie i kogoś nie chcą puścić i znowu szamotanie,

coraz bliżej, aż nakoniec wystrzela z tego szamotania żaloszny krzyk kobiecy. A tu szrapnele już wybuchają o wiele, wiele bliżej, a tu Beliny ze szwadronem wciąż niema, a tu piechota musi zajmować już pozycje. Aż z tego wszystkiego, nie dalej już, niż jakieś trzydzieści czy czterdzieści kroków od Komendanta, w rozpeklinie pagórka, pośród rozkwitłych glogów, babina szamoce się, krowę wlecze na sznurku, żandarmi nasi odpędzają razem babę i krowę — ale nie dają rady, nie!

Nie dają rady. Kobicina sucha, szara, w szmaciętach wypłowiałych — istny strach na wróble — płacze i krzyczy: — Puśćcie mnie, puśćcie do pana generała!!!

Nie dali rady! Wyrwała się i oto stoi zdyszana, śmiałością własną ogromnie przerażona, przed panem generałem czyli ówczesnym naszym Komendantem. Lęk nią trzęsie przemożny, ze skroni spływa pot, ale babina znów bierze na odwagę. Co się przelęknie generalskiej władzy w szarym mundurze leżącej na murawie, to się znowu ośmiela.

Co tam żandarmi i cóż ta krowa jedna — gdy były dwie, ale tę drugą, Krasulę, Austriaki zabrali, a zabrali bez kwitu! Krzyknęła i znów zmogło ją przerażenie, że krzyczy przed generalską władzą. Lecz znów zbiera się w sobie i jeszcze raz zaczyna.

Komendant usiadł, słucha. Słucha bardzo uważnie. My — świta — uważamy, że to nasza wina to całe wydarzenie. Jakże można było dopuścić, ażeby taka baba zawracała głowę Komendantowi! A tu bitwa na wzgórzach rozlega się donośniej, Piłsudski już się słuchem w onej bitwie pogrąża, surowym wzrokiem przemierza cienie lasów i skraje i niziny.

Spojrzał znów na babinę i nawet wypytuje. Aż nagle posunął się po murawie i oczy mu się rozszerzyły, jak do spraw najważniejszych. Babina jeszcze skwierczy, gdy

przerwał jej i wybuchnął głębokim głosem oburzenia — mocny Boże — tym samym głosem, którym wybucha, gdy o całą I-szą Brygadę i o cały jej los chodzi.

— Jakże mogli zabrać bez kwitu! — tłumaczy Komendant kobiecie — powinni byli dać kwit rekwizycyjny. I — który to był oddział i jaki, kiedy przyszedł, dokąd odszedł? Musicie mieć kwit, matko.

A tu tymczasem Belina nadbiega krótkim galopem, trzymając w rękę przy siodle dymiący garnek szrapnela, za Beliną kilku ułanów — jak to konni w bitewnej okazji — powiało od nich na Komendanta chrzęstem, ruchem, gorącym i kurzawą gonitwy, ale im tylko dłonią skinął, by zaczęli. I prowadzi do końca tamtą rzecz z tą kobieciną szarą, nikłą, z tym oto żalosnym węzełkiem doli ludzkiej. I dopiero, gdy wszystko w tej drobnej sprawie krzywdy wyczerpał, dopuszcza przed siebie Belinę.

Tak pojmował ludzkie koleje i tak prowadził i tak zwykł był rozrządzać: z jednej strony — szara babina, choć z przerażeniem, lecz jakże mężnie dochodząca sprawiedliwości, z drugiej strony — ówże Belina, rotmistrz kochany, wielce w tamtejszej chwili ważny, jako iż przynoszący rozpoznanie dla całej bitwy. Kogoż to widział w owej chwili Piłsudski niby jako tego szarego człowieka, a kogo jako człowieka ważniejszego i wybranego? Kogo, gdybyśmy dzielili wedle barw, jako szarego, a kogo, jako ważniejszego — powiedzmy — niebieskiego?

Ze spotkania, które opisałem, z tysiąca innych wnoszę, że Piłsudski nie znał w swem życiu innego człowieka, jak tylko tego szarego, czy to był na koniu, świetny Belina, czy też nędzarz, co krowę na postronku wiódł, czy to był robotnik, czy mąż na szczyty wyniesiony, wstęgami wszystkich orderów owiązany.

U wszystkich tę tylko cenił Naczelnik jedną — szarość: zawziętą w pracy i natchnieniu, dreptaninę nieustępliwą,

sakramentalną, to dochodzenie, gonienie aż do utraty tchu za ważnością sprawy. Tę podstawę jedyną znał, która sprawia, że człowiek staje się szarym kamieniem wielkiej świątyni dziejów. A wszystkim innem Piłsudski gardził, pomijał i wzruszał ramionami i śmiał się z innych ludzi — i może mało kto wie, jaka otchłań pogardy otwierała się we wspaniałej duszy tego Człowieka na widok wszelkiej innej hierarchji poza tą jedną: poza hierarchją pracy, poświęcenia i męstwa.

Ten szary człowiek, który nigdy nazwiska w uczynku nie szuka, o sławę czy pochwałę nie dba i przed żadnym lękiem się nie cofnie; ten szary człowiek, który tkwi w swej robocie docna i tylko w pracy ma swe radości, wieczne radości z dokonania rzeczy koniecznych — to człowiek Piłsudskiego.

A jakież to będą rzeczy konieczne? Konieczne będą zawsze najtrudniejsze, za dokonanie których płaci się krwią i śmiercią. On sam przecie był takim szarym człowiekiem rzeczy najtrudniejszych, ofiar najcięższych — i teraz przez dziesiątki lat szukać będziemy i przy badaniu historii naszej natrafiać wciąż będziemy na szare kamienie czynów Jemu tylko wiadomych, poświęceń Jemu tylko znanych, które układał u podstaw naszej wolności. Ta to jest szarość twarda, którą później rozległe wieki osrebrzają coraz to piękniej, iż nabiera tęczowego tonu nieśmiertelności.

Tak rzecz wywodzę, a może komuś wyda się ta filozofja trudną i niedołączną. Ktoby mi jednak zarzucił, że mglistą filozofję uprawiam, temu przypomniabym, jak to kiedyś On właśnie, Piłsudski, ukazał się w swej Ojczyźnie jako pierwszy szary człowiek.

Przypomniabym, jak Go w szarości tej proroczej przyjęto szyderstwami i jak drzwi przyszłości wszelkiej starano się przed Nim zatrzasać.

Działo się to w Krakowie, gdy się Józef Piłsudski po raz

pierwszy ukazał w strzeleckim mundurze i kiedy na współczesnych przerażeniem powiało od tego szarego munduru.

A On sobie chodził w szarości tej proroczej, już przeniesiony natchnieniem z niewoli naszej w krąg wolności.

Tak to chyba rozumieć wypadnie szarego człowieka: ten jeden tylko znaczenie ma, ten jest kamieniem węgielnym wszelkiej trwałej budowy i temu między walką a walką, między raną a śmiercią — oddawał Józef Piłsudski zawsze całe swe serce.

KOMENDANT

JAKO MÓWCĄ I JAKO PISARZ

Józef Piłsudski jako rozmówca był czarodziejem wdzięku, humoru i delikatności. Ludzie gromadzili się wokół Niego, nastawiali uszy, chłonęli każde słowo. On zaś w gawędzie przyjacielskiej cieszył się i promieniał. Czy to wśród żołnierzy, czy wśród mężów stanu, artystów czy prostych ludzi, zawsze wśród nich sprawiał wrażenie, jakby sobie w takiej chwili gawędy towarzyskiej przypomniał nagle i radośnie, że istnieje na świecie zwykle ludzkie życie i jego miłe rozrywki; zapominając trosk ogromnych, jakby zstępował oto między nas i całą piersią, po groźnych ciszach namysłu, oddychał drobnym naszym rozgwarem.

Takim to był rozmówcą. Mówcą natomiast był groźnym, który zmiatał z przed siebie przeciwników, łamał ich kilku straszliwymi słowami lub też kilku zdaniem płomiennego swego przekonania przekazywał sądowi historii. Był mówcą straszliwym, nawet bowiem gdy mówił do tych, którym wierzył, przemawiał do nich zawsze w danej sprawie nieodwołalnie, jakby ostatni raz zabierał głos w materji ostatecznej, żądając zawsze szczytowego wysiłku uwagi i postanowień najszczerzych.

Wydaje mi się, że łagodniejsze, względniejsze były dra pieżne skoki wypraw wojennych tego Wodza i mniej srogie, mniej bezwzględne jego rozkazy, niż Jego mowy. Działo się tak dlatego, że Piłsudski, w odróżnieniu od klasycznych nawet oratorów, przemawiał dopiero wtedy, gdy natrafiał na przeszkody, które Mu działać nie pozwoliły, które hamowały Jego czyny.

Mowy Piłsudskiego — to gniew bohatera, który podążał, śpieszył i którego opadnięto, skrepowano podstępnie. Ile razy *ten mówca* podnosił głos — jakby wołał, jakby się dopominał w ciemności, pośród zgiefku bezwolnych ludzi

o sprawy ważne, a zarazem jakgdyby wbrew ludziom, którzy Go krępowali, wzywał dla nich ratunku.

Dziś, gdy się czyta te mowy, trudno w nich nie odkryć tajemnicy cierpliwości czy też rzekomej łagodności tego człowieka wśród tylu małodusznych sprzeciwów. Niebezpieczna to była cierpliwość, wątpliwa łagodność! Zaprawdę, tych, którym darowywał życie, którym przebaczał dla dobra Ojczyzny na targowisku życia politycznego, tych samych ludzi słowami swojemi umiał przecież uśmiercać w obliczu Historji.

Z czegoż to słowa Jego czerpały taką piorunującą siłę? Rafinowanym stylistą nie był, oratorskiej koloratury nie znosił, wymowę miał wadliwą, zaciągał z litewska, a głosem w szerokiej skali nie rozporządzał. Znaliśmy chyba wszyscy ów głos, głębokimi haustami wydobywający się jakby ze studni. Jego słowa czerpały wyjątkową siłę z tej zasadniczej przyczyny, iż wiedział, że każde słowo publicznie wymówione poprze zawsze czynem, że za każdym swoim słowem stanie sam, całą prawdą swego życia.

Stąd groza mów Piłsudskiego. Były groźne i nawet, gdy śmierć siały — były wzniosłe, zawsze bowiem były prawdą. Piłsudski nie starał się przekonywać, nie zbijał cudzych argumentów, a tylko mówił, co sam wiedział o istocie sprawy. Między słowa i argumenty mówców wprowadzał zawsze żywą istotę działania.

Któż mógł z Nim ostatecznie dyskutować o Polsce? Nikt. Nie żadna dyktatura czy też podobne urojenia, o których szeptano złośliwie, przerwały dyskusję Narodu z Piłsudskim. Dyskusja wyczerpała się sama, Piłsudski bowiem przekonał swój Naród.

Pisać było chyba Komendantowi trudniej, niż mówić: perspektywa mowy wytrzyma łatwiej formalne uchybienia, których głębia pisanego słowa nie zniesie i wytrzymać nie bywa skłonna. Komendant nie doskonalił swego stylu,

jak to czynić zwykli tak zwani pisarze zawodowi. Parał się pisaniem, gdy Go już wszystkiego pozbawiono: i miecza i wolności i słowa. Pisał już to więziony przez obcych, już to śmiertelnie skłócony z przebiegiem życia polskiego.

Rozróżniam w spuściźnie autorskiej Marszałka dwa pisarstwa: polemiczne i historyczno-wojskowe. O polemicznem różnie mówiono. Sarkano na brak względów i na brak wszelkiej ceremonji i okrutność bezmierną i dobór słów — więcej, niż obozowych. Ale gdyby mnie zapytano o zdanie i gdyby ono w takiej materji mogło mieć jakieś znaczenie, tobym właśnie do lektury tych polemik, tych piekielnych filipik Pana Marszałka gorliwie nawoływał.

Tam to właśnie, w tych filipikach, siedzi cały ironista siarczysty, nietylko mąż spizowy i odnowiciel, przed którym można bezkarnie wydziwiać, jako że spizowość nie pozwoli na odruchy karcące. Nietylko mąż spizowy, lecz człowiek szekspirowskiej wnikliwości, rabelesowskiego humoru, człowiek z rękami po łokcie zanurzonymi w marności ludzkiej, przenikliwy burzyciel pozorów zakłamanych legend, wysypujący trociny z kukieł obłudy, wspinały gwałtownik w rozchełstanej bluzie żołnierza, pochylony drapieżnie nad papierem, ryjący na coraz nowej karcie szeregi słów pospolitych a zdrowych, walący temi słowami po łapach i goleniach, po zatwardziałych głowach i — o tragiczna łasko wielkości — niemal bezsilny w tym gniewie, wiedzący bowiem, że nawet Jego wzgarda wyniesie wkońcu pogardzanych przez Niego głupców między postacie historii, choćby tylko dlatego, że to On, że to On tymi ludźmi gardził.

Na drugie pisarstwo Marszałka — wojskowo-historyczne — patrzyliśmy niejednokrotnie własnymi oczami, gdy po bitwie zasiadał w chałupie na postoju i przy lampce naftowej czy przy ogarku świecy pisał nam, legionistom Jego Brygady, pisał nam, pisał do nas swe rozkazy.

Bolało nas, literatów, służących w Brygadzie, że się do naszej sztuki nie odwołuje. Dobrze robił, że się do niej nie odwoływał. Zafryzowalibyśmy lepiej czy zgrabniej jedno lub drugie zdanie, wytoczylibyśmy udatniej ten okres czy tamten. On jednak wiedział, że z rytmu krwi, który plany bitew tworzył, musi też wykwitnąć ocena: pochwała czy przygana. I kiedy mały dłubinos, trzymający nocną wartę przed kwaterą Komendanta w polu, widział Go po bitwie przez długie godziny nad papierem pochylonego, wiedzieli tejże nocy wszyscy żołnierze i z bijącym sercem czekali, jaką opowieść, jaką legendę wysnuje z odbytej walki pierwszy dowódca, a zarazem pierwszy pisarz tej Brygady — Komendant Piłsudski.

Pierwszy pisarz Brygady, a później pierwszy pisarz Wojska Polskiego i polskich wojen w odrodzonej Ojczyźnie.

Miałem być raz szczęście brać udział w takim Jego pisaniu, gdy w czasie największego rozmachu pierwszej wyprawy wileńskiej, raczył zawezwać mnie do swego wagonu i tu podyktował mi tajny list do owoczesnego ministra wojny generała Sosnkowskiego o elementach i całej wojennej istocie tych działań.

W miarę jak pisałem dyktowane mi zdania, oddziały nasze, rozrzucone na przestrzeni od Baranowicz po Wilno, układać mi się poczęły w przedziwnie celowy zestrój, a przestrzeń, którą ogarnialiśmy już, jęła swym charakterem zespalać się osobliwie, z czasem naszych uczynków: z czego pospólnie, w ciszy nocnej, przerywanej tętnem słów tego Człowieka, rysować się jęło najskrytsze oblicze — sam twórczy duch tej wyprawy.

Komendant zaś, dyktując dalej, gdy Mu o sobie przyszło wspomnieć, jako o Wodzu tych działań, jakby usprawiedliwiał się w liście z tego, czego być może nie dopatrzył, być może nie przewidział, a z czego może wynikło, iż

oblicze całego uczynku nie stało się tak piękne, jak był marzył i zamierzał.

Wydaje mi się, że tak to właśnie zawsze pisał Pan Marszałek o wojnach naszych i o swej w tych wojnach pracy: jakby Ojczyźnie samej przedkładał swe usprawiedliwienie.

Jego usprawiedliwienie, Jego, który wygrał wszystkie nasze wojny!

KOMENDANT A KSIĄŻKA

Kiedy myślę o Piłsudskim i o książce, jak się to pomiędzy nimi układało, między tym płomiennym Człowiekiem wielkich czynów a książką, przedmiotem biernym, cichym, ale który, gdy go rozewrzesz, tchnie siłą nieśmiertelną, gdy się zastanawiam nad więzami, jakie między sobą a książką polską ustanawiał Piłsudski, dochodzę do przekonania, że się to snuło, niby w najprzykładniejszej przypowieści. A przez przypowieść rozumiem dostępne tłumaczenie wydarzenia jakiegoś ważnego, wytłumaczenie, w którym mieści się i pokrywa wzajemnie prawda, boleść i ironja życia. Prawdę bowiem, ból i ironję życia zawsze pogodzi przypowieść, wyciskając z nich dla budowania przyszłości pożytek wieczysty.

Piłsudski działał w sprawach książki jak we wszystkich innych: działał zwysoka całość ogarniając, a już nie patrzył, ile ironji przeleci Mu przez palce i ile ziemskiej boleści pobudzi cała sprawa. Miał dosyć i wszystko osiągał wedle swego mniemania, gdy główny cel osiągnął.

Działał zwysoka. Po pismach, po ulotkach, bibułach, odezwach i przedświtach, po całej, ze skrzętnością jakiegoś tajemniczego genjusza prowadzonej akcji propagandowej, przyszedł Piłsudski do książki ze swojej wyprawy bezdańskiej.

Wszystko razem godne wzniosłego mitu!

Nasze dawne ospalstwo, spotwarzające tego człowieka mianem bandyty, On zaś, twórca nowoczesności polskiej, powracający ze śmietnika rozbitego wagonu pocztowego krokiem Anhellego. Miał tam pod Bezdunami trupem paść — sam mi to opowiadał, gdyśmy z pod Konar jechali do austriackiej dywizji we dwóch, który to dzień poczytuję sobie za najpiękniejszy w życiu — lub miał duchem zwycięstwa przepoić swoich bojowników w całkowicie już przegranej wojnie 1905-7 roku.

Gdy powrócił nareszcie do Krakowa, obstała Go zewsząd niedola i potrzeba, głód i nędza Jego dawnych bojowców. Któż ich nie pamięta, któż ich nie widział wówczas i któż się na ten widok nie przejął zgrozą! Jak prosili u swych towarzyszy galicyjskich o kawałek chleba, jak się marnowali na nędznych posadzinach, jak nie mieli gdzie spać i co jeść ci ludzie mężni a wytyrani, ranni, potłuczeni, tak bardzo wykruszeni.

Piłsudski opatrzył ich nader skąpo, już bowiem znowu dalej dążył przez najczulsze cierpienie ludzkie w przyszłość większych uczynków. Wtedy to przecież, gdy zakładał Strzelca, założył Towarzystwo Wydawnicze KSIAŻKA w Krakowie.

Patrzeć na to zbliska — szaleństwo. Patrzeć zdaleka, zwyżsoka — wielkość.

Potrzebna Mu była zaprawdę drobna cegła propagandowa dla mas, ale chciał również dla swych organizacyjnych czynów tej wielkiej smugi świetlistego drżenia, w której najłatwiejszem zdaje się poświęcenie: ale chciał również tych płomieni, tych szumnych słownych chmur, z których później w serce epoki strzelają pioruny.

Więc tak zorganizował swą KSIAŻKĘ: propagandową cegielkę społeczną sposobila jedna załoga, a drugą załogę pięknodusznych bardów organizował zaufany Piłsudskiego — Bolesław Antoni Jędrzejowski, jeden z tych pięciu, co to z Piłsudskim, Jodką i Mościckim na sławnej już dziś fotografii londyńskiej figurują. Jędrzejowskiego przezywano i w partji i w KSIAŻCE dla krótkości Bajem.

Człowiek, jakiego tylko Piłsudski mógł był wyszukać. Zakamieniały partyjnik z najsurowszej reguły, a żywiący dla pięknego słowa pisanego miłość anielską. Ten to dogorywający na suchoty cień ludzki, który pisał do nas, młodziutkich wówczas czeladników (jak Nałkowska, Wielopolska, Iłakowiczówna, Choynowski, Kisielewski, ja) sążniste listy, który szeptał wśród korekt resztką głosu

swoje fanatyczne nauki, szamocąc się między ogniami Żeromskiego, turnią Micińskiego, żalosnem westchnieniem Daniłowskiego, ten to człowiek podziemi partyjnych tworzył z naszych natchnień ową smugę światłości, ową dumę polskiego obyczaju, w której zstąpić miał na ziemię Łowczówków i Konar młody legjonista polski.

Piłsudski zjawiał się na Rynku w Towarzystwie Wydawniczym KSIĄŻKA bardzo rzadko. My, pisarze, nosiliśmy jeszcze wówczas wichrowate czupryny, On już dawno chodził w mundurze strzeleckim. Wstydziliśmy się, gdy się zjawiał w KSIĄŻCE? Chyba żeśmy się już wstydzili intuicyjnie tej jakiejś za wielkiej, nadludzkiej odpowiedzialności do której to wszystko prowadziło. Dla Niego była ona chlebem powszednim, a nas gniotła.

W tych spotkaniach szukać należałoby może pierwszych twórczych odromantycznień naszej literatury. Wielce to było zdrowe, że się nareszcie objawił człowiek, którego musiało się przełęknąć rozelśnione słowo polskie, chociażby nawet tak pełne blasków, jak słowo Żeromskiego,

Widziałem Piłsudskiego w KSIĄŻCE niewiele. Jak to On! Sam przykład — bohaterstwo, kroczące po ludzkim świecie bezwzględnyimi krokami. Bohaterstwo, bezwzględność błogosławiona, którą się nigdy nie mogłem dosyć nazachwycać. My jeszcze tu — On już na przodzie — daleko — cóż za cudo szybkości!

Przedziwny to był widok, ów Strzelec pośród równych tomów, ułożonych wzdłuż i wzdłuż ścian wszystkich sal KSIĄŻKI na Rynku krakowskim! No więc ów Strzelec, jakby wśród plastrów jakiegoś duchowego ula, przemijający tamtędy lekkim a groźnym krokiem, roztargniony, już prawie nie widzący tej całej pięknej rzeczy.

Nie widzący — a przecież właśnie wtedy, niedługo przed wojną rozlatywała się już KSIĄŻKA. Nasz Baj, fanatyczny strażnik tej smugi zaczynu słownego, nie zdołał dobrze

dopilnować firmy. Propagandowa cegiełka tomików społecznych zaciążyła na literaturze pięknej, lekkomyślność administracyjna puściła w ruch gromadę weksli.

Śmiertelnie już słaby Jędrzejowski musiał patrzeć, jak mu rozliczna konkurencja zabiera autorów. To on, Baj, płacił najczulszą miłością, najzarliwszą boleścią za dzieło Piłsudskiego. Niczem skazaniec, chwycił się najzawodniejszych środków, byle ocalić instytucję. Ironja chciała, by szamotał się napróżno.

Czy się zwracał do Piłsudskiego o ratunek? Napewno tak.

Czy Piłsudski wiedział jak rzeczy stoją? Oczywiście, że tak. Pamiętam przecież jedno z posiedzeń w mieszkaniu Komendanta. Pamiętam, jak odkreśliwszy paznokciem wszystkie zgubne dla KSIĄŻKI pozycje, zażądał planu wyjścia z trudnego położenia. Nie zdobył się na jedno słowo przygany.

Przecież to najbardziej krwawy wysiłek, chleb odjęty od ust bojownikom rozkruszał się oto w oczach Komendanta; wysiłek przewcielony w dobro duchowe, więc boleść tem dotkliwsza! Czyż nie zawiedli Piłsudskiego towarzysze?

Zawiódł Go Baj, który poprostu w nadmiernej miłości słowa drukowanego stracił głowę i tracił życie. Zawiódł Go ten drugi, który zachwiał finansową podstawą KSIĄŻKI. Zawiodły Go stosy, pełne pokoje broszur, pod którymi zapadała się podłoga, a w świat nie szły. Zawiedli Go nawet autorzy, głodni autorzy polscy, którzy odpadali jeden po drugim do innych wydawców.

Boleść, ironja! Ale przecież Piłsudski, jak to zwykle, działał zwysoka. Cóż Mu tam boleść i ironja, kiedy widział swą drogę, sam jeden wiedział najlepiej skąd przybywa i dokąd zdąża. Cóż mu tam owa śmierć towarzysza Baja wśród korekt ukochanych i cóż Mu wszystkie podstępny, weksle, podchody wydawnicze? Gdy już wiedział, że z bezdańskiego wysiłku straszliwego pchnął na Polskę

zpowrotem całą chmurę piękności natchnionej. Piłsudski wierzył w książkę, jak we wszystko, w co wierzą bohaterowie: że gdy jest, to działa i tworzy i niemasz drogi, którąby można zamknąć przed taką mocą.



KOMENDANT

JAKO ŻOŁNIERZ I WÓDZ

Jakim był Żołnierzem, jakim Wodzem, tego chyba żaden z nas, którzyśmy służyli pod Jego rozkazami, nie zdoła dobrze opowiedzieć: żaden z nas, poczynając od szeregowych, kończąc na świetnych wodzach, których ten wielki Wódz tyłu wychował. Pytajcie kogo chcecie — od Rydza-Śmigłego do ostatniego dłubinosa, który się na wojnie niczego nie dosłużył, tyle tylko, że drogi marszów dalekich trudem swoim mościł, a w nocy wydychał nie-ludzkie zmęczenie i zawsze bił się, jak i gdzie mu kazali: którykolwiek z nich wszystkich zechce wam odpowiedzieć dokładnie, ani się nawet opatrzy, gdy się dogada do zachwyconego uśmiechu, niewyrażonego nigdy żadnymi słowami.

Po tym zachwycie żołnierzy poznacie Wodza. Tak chyba mówili legjoniści Cezara o Cezarze, żołnierze Sobieskiego o Sobieskim, żołnierze Napoleona o Napoleonie — tak mówią żołnierze Piłsudskiego o Piłsudskim. Nie lękałbym się powiedzieć, żeśmy ten zachwyt, tę miłość posuwali niejednokrotnie do granic bluźnierczych. To znaczy, że gdyby nam między tym Wodzem a Ojczyzną wybierać kazano, wybralibyśmy chyba Wodza, Józefa Piłsudskiego, a nie Ojczyznę. Przez wiele bowiem lat, od czasów strzeleckich poprzez legjonowe, jedyną Ojczyzną swych żołnierzy był Józef Piłsudski.

Jakże sprawił, że nie starłszy się jeszcze z wrogiem w szyku otwartym, nie złożywszy uprzedniego dowodu wodzostwa swego, stał się odrazu dla nas doskonałością?

Kto ma zwyciężyć nieprzyjaciela, musi wprzód zwyciężyć własnego żołnierza.

Jak to sprawił? Dokonał tego czarem swej postaci, jakimś rycerskim wdziękiem tajemniczym, jakimś urokiem bohaterskiej srogości. Najrzadszą w świecie magją wielkich

wodzów dokonał cudu: zdobył nas wszystkich sam przez się. Oddaliśmy Mu nasze życie, żeby sobie niem rządził, oddaliśmy je, wierząc, że to dla nas wielki zaszczyt złożyć Mu je w Jego drobne a potężne ręce.

Tajemnica, cud Wodza! Przecież wówczas partyjnicy tylko wiedzieli, kim naprawdę był Piłsudski. My, młodszy, słyszeliśmy o Nim niewiele. Ale kto wiedział niewiele albo się wahał — gdy zobaczył Go wtedy wieczorem w sierpniu na błoniach krakowskich, jak stał między strzelcami i drużyniakami i jak czytał swój rozkaz wiekopomny, kto w mroku wieczornym dojrzał oblicze tego człowieka, istne oblicze losów Ojczyzny samej, kto usłyszał ów głos, w którym zawsze była obecna cała godność Polski — ten sobie zaraz powiedział: no więc idę, idę, niech krew ze mnie wytoczy, wszystko jedno, tak musi być, idę i koniec!

Tej tajemnicy wodzostwa nikt nie zgłębi, bo jest nieodgadniona, jak miłość lub śmierć. Zwyciężył nas swym czarem i zawsze później zwyciężał, kiedy chciał. Gdy się Brygada skrwawiła pod Łowczówkiem i nader dumna była ze swych ofiar, przyszedł i powiedział nam do słuchu tak surowo, żeśmy się potem rozleźli po chałupach, jak żaki.

Gdy wynikło wobec Niemców zagadnienie przysięgi, nie widzieliśmy Jego samego, ale ci, którzy chociażby kilka słów od Niego powiedzieć nam mogli, byli dla nas jakby apostołami. A gdy On siedział w Magdeburgu i już wcale nie działał, cień wielkiego smutku po Nim prowadził nas, jakby On sam prowadził. A gdy znów potem zjawił się gdziekolwiek na odcinku albo jak Go widziałem na przeprawie pod Wilnem, gdy pułki jazdy oglądał, a ta jazda to była jeszcze wtedy zbieranina z najpiękniejszych kątów świata, do tego podszyta polityką — nic, nic... Te pułki idące na śmierć, gdy Go zobaczyły tylko — zawrzały strasznym głosem wojennego natchnienia.

Ułożmy więc na dnie całej wojennej sprawy Piłsudskiego

tę niezbadaną tajemnicę Wodza, że zachwycał, porywał, wynosił ku szczytom wierności, zwycięzał swych żołnierzy. Mienił się często naszym kolegą i mogło się nam być od tego w głowie zawrócić z przyjemności — kolegą naszym jednak nigdy nie był.

Ani mogliśmy sami na to pozwolić, ani On mógłby do takich wagarów wodza na rzecz ochoty żołnierskiej dopuścić. Piłsudski marzył, żeby być żołnierzem w linii, rwał się do tego wszystkimi sposobami, uciekał z kręgów swego wodzostwa, jak chłopiec z ciężkich lekcyj ucieka za miasto. Nie pozwalaliśmy na te wycieczki, bo któżby wodzem był? On sam też sobie odmawiał, bo wiedział przecież, że Go nikt nie zastąpi na wodzostwie. A jednak spotkanie bitewne, najprostsza robota żołnierska przy dziele wojny — ciągnęły Go tak bardzo, że często buntował się przeciw samemu sobie, przeciw Wodzowi i jako żołnierz wymykał się do linii.

Pierwsza Brygada drżała wówczas o Jego życie. Major Olszyna w śmiertelnym boju pod Kołodziejami zastąpił Mu drogę do okopów z bagnetem w rękę.

Na linii ognia zobaczyć można było, jakim Piłsudski byłby żołnierzem. W małym, a równocześnie wiekopomnym gospodarstwie odcinka piechoty, dręczonej ogniem huraganowym, czuł się w pełnym żywiole życia. Wtedy zaraz — ruchy polotne i przejaśniony głos i ten chód doskonalej radości między życiem a śmiercią i zuchwałe spojrzenie wyzywające los:

- No to zabijają, trudno, to jest wojna! — wołał wtedy.

Radosna odwaga Piłsudskiego! Widziałem wielu bohaterkich dowódców. Gdzieś tam na koniec zawsze w chwili ostatecznej dopatrzysz się w źrenicy jakichś cieniów popłochu. A w Jego oczach zawsze jasność natchnionego drapieźnika. Ta nieczułość na obawę śmierci, ta odwaga sprawiała, że w chwilach najcięższych ludzie chronili się

wokół Niego, jak koło gromochronu. Sądzieli, że przy Piłsudskim nic się im stać nie może. Kula nie ośmieli się zaczepić Komendanta.

Takim był wszędzie w bitwie: pod Laskami, gdy z chałup płonących wychodził, pod Limanową, gdy zasypywany szrapnelami podążał ku swej piechocie, pod Kołodziejami, gdy w ogniu huraganowym zasiadł pośród żołnierzy, w 1919-tym w bitwie pod Lidą, w 1920-tym, gdy przez oddziały bolszewickie pędził sam prawie poganiać i tak już ducha z pośpiechu wydającą dywizję Konarzewskiego.

Była w tym Wodzu nieprawdopodobna radość i chęć boju, było drapieżne szukanie nieznanego losu w przestrzeni i w czasie, które okrążał wojskami przez siebie dowodzonemi.

Jak dowodził? Wszędzie, zawsze inaczej, ciągle na nowo. Tworzył dowodzenie, jak wielki mistrz dzieło swe tworzy, płomiennym porywem talentu. Chyba wojna była najgorętszą Jego miłością. Bolał nad jej ciosami, ale gdy już wszedł w to zmaganie się z nieznanem, wtedy cały stawał się wojną. Gdy krążył po swych pokojach Wodza na placu Saskim i plan układał, a myśmy po Naczelnem Dowództwie na palcach chodzili, by Mu przypadkiem w myśleniu nie przeszkodzić, gdy rzuciwszy w 1920-tym roku swe dywizje z nad Wieprza, powiedział w swym rozkazie, gdzie będzie stał na skrzyżowaniu dróg, celem odebrania wieści o działaniach dywizyj — nie myślał chyba ani o Ojczyźnie, ani o jej ludziach, a tylko — jak z niewiadomości losu wydrzeć rozstrzygnięcie.

Jedni wodzowie wydrzeć je pragną siłą ognia, gęstością szeregów, potęgą techniki bojowej, On, jak mistrze: nie skupiał wokół siebie i nie zbierał oddziałów w wielkie gromady! Bo gdzie jest zagęszczenie, tam materiał dojdzie do głosu, tam przeważy środek techniczny, a więc prawie fabryka, a gdy fabryka — to już wiadomo, że nie duch!

On rozrzucił od siebie, prządl daleko, jak najdalej w przestrzeni, w niej rozkochany! Bo przestrzeń to jest ruch i luz i zdaje się na siłę najodpowiedniejszą, siłę ducha, która, w moralnej wielkości poczęta, zawsze wkońcu każdą przestrzeń prześcignie. Ta zasada zda mi się główną ostoją jego wodzowania: w dowódcach i w oddziałach twierdze siły moralnej, rozpędzone w przestrzeni!

Stąd już wszystko: i doskonałość ruchu i oszczędność w utracie wojennej i celowość uderzeń i nareszcie sława klasyczna: że gdy napisał w rozkazie dziejowego uderzenia: *Ja będę stał na skrzyżowaniu dróg*, tośmy się aż przelękli, bo zrozumieliśmy odrazu, że na wszystkich skrzyżowaniach dróg walki w odrodzonej Ojczyźnie stał i po wieki trwać na nich będzie dumą swego zwycięstwa.

NA PROGU ROKU SZKOLNEGO

(Pogadanka dla młodzieży szkolnej).

Kiedy pani dyrektorka, która organizuje te pogadanki, zwróciła się do mnie, żebym wymyślił coś najodpowiedniejszego o Panu Marszałku Józefie Piłsudskim na pogadankę, mającą rozpoczynać cały szereg innych, przestraszyłem się bardzo: postać Pana Marszałka — to postać olbrzymia, a słuchacze — mali... Pan Marszałek dokonał w Polsce rzeczy wiekopomnych, niezawsze łatwych do zrozumienia, a moi słuchacze — to przecież, nie ubliżając żadnemu z nich, tak zwane dzieci.

Sam też byłem kiedyś dzieckiem i nic mnie wtedy tak bardzo nie obrażało, jak tytuł „dziecka“. Dziś jednak jestem już oddawna tak zwanym dorosłym, starszym i — mówcie co chcecie — muszę stwierdzić, że jednak ludzie w wieku od lat sześciu do piętnastu, to, bez niczyjej obrazy, jeszcze dzieci. Więc jakże te dzieci będą mogły zrozumieć wielkość spraw, któremi zajmował się i których dokonał Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski?!

Kiedy wdaliśmy się z panią dyrektorką w rozmowę, wynikło z niej, to jest z tej rozmowy, iż pani dyrektorka życzyłaby sobie koniecznie, by opowiadanie o Panu Marszałku połączyć z początkiem roku szkolnego.

- Jakto połączyć — powiadam — ależ, proszę pani, będzie mi bardzo trudno łączyć początek zwykłego roku szkolnego z wielkością takiej postaci.

Na to znów pani dyrektorka:

- Jabym chciała, panie redaktorze — nazywa mnie redaktorem, nie stoję o tytuły, ale ostatecznie „redaktor“ brzmi wcale poważnie — więc dyrektorka powiada:

- chciałabym, żeby na progu roku szkolnego słuchacze nasi dowiedzieli się z tej pogadanki czegoś nowego w związku ze szkołą i z Panem Marszałkiem.

Zająły moją uwagę te proste słowa: na progu roku

szkolnego... Oczywiście, rok szkolny nie może mieć żadnego progu w znaczeniu zbitych razem belek czy desek. O progu, jako takim, mówi się tu przenośnie: że niby były wakacje, potem trach-trach, następuje pewien oznaczony dzień i zaczyna się rok szkolny. Były wakacje, piękne niebo, wycieczki, pływanie, lasy, woda, a potem zjawia się jakby jakaś wielka brama, za którą rozpościera się już cały długi rok szkolny.

Dyrektorka chce koniecznie, by w związku z rokiem szkolnym mówić o Panu Marszałku. Dyrektorka ma słuszość. Szkoła to powaga życia, to obowiązki, to doskonalenie się. Rzecz trudna, nieraz ciężka, trzeba do tego siły charakteru, wytrwania. Nieraz trzeba tu nawet jakiejś duchowej pomocy. To znaczy, aby nam przypomniano, że jeśli inni potrafili więcej zrobić, o wiele więcej wytrzymać od nas, no to niech nam przyświeca, pomaga ich przykład, byśmy wytrwali w tym mniejszym od tamtego naszym obowiązku.

Jeżeli tak ujmemy sprawę, to śmiało możemy Pana Marszałka uznać za patrona wszystkich szkół i wogóle całej szkoły polskiej, zaczynając od pierwszej klasy szkoły powszechnej, a kończąc na najwyższych stopniach wszelkich doktoratów.

Przecież to On, Józef Piłsudski, wywalczył całą szkołę polską, to On walczył o jej polskość, już jako mały chłopak w Wilnie, ongiś pod zaborem rosyjskim. Sam opowiadał o tem nam żołnierzom, którzy mieliśmy zaszczyt towarzyszyć temu wielkiemu Wodzowi w Jego wspaniałej wyprawie na Wilno w roku 1919-tym.

Stało się to po uroczystem nabożeństwie dziękczynnem po zdobyciu Wilna. Po defiladzie oddziałów, które maszerowały pod katedrą wileńską wśród radosnych okrzyków ludu, Marszałek skierował się wraz z kilku nami do samochodu i kazał się wieźć do dawnego swego gimnazjum.

Sam pokazywał szoferowi drogę. Teraz w lewo, teraz w prawo, teraz znów prosto.

Patrzyłem wówczas na Marszałka Piłsudskiego z zachwytem i zdumieniem. Doprawdy, ten Wódz, zarazem owoczesny Naczelnik Państwa, jakby w tej chwili zapomniał i o wojnie i o całym Państwie. Rozochocony, z rumieńcami na twarzy, pokazywał drogę i z dzieciinną niemal ciekawością patrzył, kiedy nareszcie ukaże się z za węgła Jego dawne gimnazjum, gimnazjum, do którego sam kiedyś chodził.

Gdyśmy przybyli na miejsce, wbiegł na schody wielkiego szarego budynku, rozejrzał się wśród długich korytarzy, poczem nagle skierował się ku pewnej klasie. I wzięwszy jednego z nas za guzik munduru, pół śmiejąc się, a pół szepcząc tajemniczo, opowiedział nam swoją szkolną historję:

- *Tu siedziałem w kozie — mówił — za „polskij jazyk“ (za mówienie po polsku). Tu zorganizowałem pierwszy bunt, rozumiecie panowie, spisek, bunt przeciw rosyjskiej szkole.*

Józef Piłsudski przez cały czas swej działalności, prócz wszystkich innych walk, toczył nieustanną walkę o polskość szkoły. W tej sprawie był nieustępliwy, nieugięty. Młodzież szła za Nim całym sercem, całą duszą. Gdy Rosjanie chcieli zniszczyć szkołę polską w dawnym Królestwie, Piłsudski rzucił hasło: *„Uczcie się prywatnie, nie korzystajcie z rosyjskich uniwersytetów, uczcie się zagranicą, nie będziecie mieli praw, jakie daje do pełnienia wielu zawodów szkoła rosyjska, ale uratujecie polskość waszych dusz“.*

Młodzież usłuchała Piłsudskiego, mimo, że było to połączone z wielkimi trudnościami. O chlebie i wodzie wędrowała zagranicę, byle się nie dać wynarodowić.

Gdy się ta młodzież znalazła już na studjach zagranicą,

powiedział do niej Marszałek: *No, dobrze, polskość duszy! Ale polskości tej, skoro pragniecie ją zachować, nie obronicie samą tylko książką i zeszytem. O polskość swą musicie umieć walczyć orężnie!*

I znowu młodzież usłuchała swego Wodza: weszła do szeregów organizacji wojskowej, jak Strzelec, później do Legionów, później stała się ozdobą zwycięskiego wojska polskiego. Ach, doprawdy, szczęśliwe pokolenie! Pokolenie, które Marszałek wyprowadził z ławy szkolnej na tułaczkę, a z tułaczki wprowadził z powrotem do wolnej Ojczyzny.

Pomyślcie o tem na progu roku szkolnego koniecznie. Gdy o tych sprawach poważniej pomyślicie, dojdziecie niezawodnie do przekonania, iż właściwie nie ma w waszej szkole jednej myśli, jednego wykładu, jednego sprzętu, który nie byłby zdobyty, wypracowany staraniem tego wielkiego Wodza i pokolenia ludzi z Nim idących.

Trzeba to zapamiętać: każda myśl tej szkoły, każdy sprzęt i mury i miejsce, wszystko to — to owoc bohater-skiej i natchnionej pracy wielkiego Odnowiciela Ojczyzny.

Na progu roku szkolnego warto się nad tem zastanowić z dwóch przyczyn: po pierwsze, aby ten owoc wielkiej pracy umieć uszanować, po drugie, abyście sobie wyraźnie uświadomili, wy, młodzież, narazie tak zwane dzieci, a poważnie mówiąc — przyszli rządcy naszej Ojczyzny, że jeśli my, starsi, zrobiliśmy tyle, no to wy nie możecie już na tem poprzestać, musicie iść dalej. Jeśli my odwojowaliśmy Ojczyznę, uwolniliśmy ją z niewoli, to wy musicie ją urządzić jak najlepiej i najmądrzej.

Aż zazdrość wzbiera, gdy się pomyśli, ile będziecie mieli do roboty. Waszą pracą musicie wypełnić cały kraj, jak my w naszych walkach przewędrowaliśmy cały.

Gdy teraz jeździecie po Polsce, myślcie sobie: O! tu jest ładnie, tu mi się podoba, tu więcej, tam może trochę mniej, a tu znów bardzo.

My, którzyśmy się bili pod wodzą Marszałka, patrzymy inaczej: pamiętamy, że stąd wychodził do walki, tam martwił się, iż za późno przybywają posiłki, tu prowadził do ataku, a tu bolał nad stratami, a tam dumiał boleśnie nad cmentarzem poległych swych żołnierzy. My czujemy, że każda piędź tej ziemi przesycona jest naszą krwią. Wy musicie, jako następne pokolenie, dodać do tej krwi swoją pracę.

Tak mi to wszystko na myśl przychodzi — na progu roku szkolnego. Ten próg nie jest zbity ani z desek ani z belek, lecz jest to tylko jakby zgrubienie czy zgęszczenie czasu, chwila od innych ważniejsza, w której jedno się kończy a inne rozpoczyna.

Na tym progu gdyście stanęli teraz, popatrzcie w drzwi waszych klas, spojrzycie we wrota waszych szkół. W drzwi waszych klas, we wrota wszystkich szkół całej Polski: we wszystkich niech się wam dziś objawi, niech się we wszystkich ukaze wam Ten, który trwał zwycięsko na skrzyżowaniu wszystkich dróg, gdzie się toczyła walka o Ojczyznę!

On, właśnie On, Józef Piłsudski, jakim widzieliśmy Go my, Jego żołnierze, On, w szarym strzeleckim mundurze, natchniony i tak zawsze rozumny, promieniejący siłą i miłością.

Może kto powie, że to za poważne sprawy dla tak zwanych dzieci. Nie wierzę, żeby to były rzeczy za poważne czy za trudne dla was. Tak zwane dzieci w Ojczyźnie Piłsudskiego — to mali, dzielni obywatele. Niedarmo mówił przecież zawsze sam Komendant:

- Zwycięzę, muszę zwyciężyć, bo mam za sobą młodzież!



SPIS RZECZY.

Od autora	7
Pod Belwederem. 1927	9
Charakter pokolenia	13
Legjoniści nad morzem	18
Słowo odrodzonego Państwa	21
Piosenka żołnierska	25
Twórca nowych wartości	32
Ostatnie widzenie	44
Styl Józefa Piłsudskiego	49
Komendant a dzieci	54
Komendant w stosunku do szarego człowieka .	59
Komendant jako mówca i jako pisarz	64
Komendant a książka	69
Komendant jako żołnierz i wódz	74
Na progu roku szkolnego	79

